Nr. 13. Poznań, dnia 30-go marca 1913 Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 3097
OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

„Oświata ludu — dokona cudu."



Do najpotężniejszych dźwigni postępu i rozwoju powszechnego należy niewątpliwie oświata. „Oświata ludu — dokona cudu." Oto hasło, w imię którego odbywa się niemal cała nasza praca publiczna. To hasło pobudza społeczeństwo i poszczególnych jego działaczy do coraz to nowych wysiłków we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

Człowiek bowiem jest istotą myślącą i z myśli rodzą się wszelkie czyny człowieka.

Będą one tem lepsze, tem szlachetniejsze im lepszą i szlachetniejszą będzie umysłowość człowieka.

Człowiek ciemny — to człowiek zły, gdyż do zła ciągnie człowieka nieokrzesana i skażona natura ludzka.

Wszelka religia na oświacie się opiera i bez oświaty pomyśleć się nie da.

To też nauczycielami ludzkości byli i są wszyscy apostołowie i misyonarze i lwia część działalności Kościoła na szerzeniu oświaty się opiera. Oświata dopiero otwiera serca i umysły ludzkie dla błogich promieni prawdy, czyni je podatne do rozróżnienia prawdy od fałszu, zła od dobra i sprawia, że człowiek życie i postępowanie swoje stara się dostroić do idej i zasad, które się pod wpływem oświaty w umyśle jego skrystalizowały.

Podobnie i narodowość — lubo do pewnego stopnia przyrodzona człowiekowi — najżywotniejsze soki jednak z oświaty czerpie.

Gdzież są dzisiaj te liczne szczepy słowiańskie, które ongiś aż po Wezerę ziemię dziś niemiecką zamieszkiwały? Zniknęły bez śladu niemal w morzu germańskiem, bo brakło im oświaty potrzebnej do uwydatnienia i bronienia swej odrębności szczepowej. Pochłonęła je wyższa kultura najeźdźców, pochłonęła ich, gdyż zalew germański nastąpił w czasach, kiedy w duszy słowiańskiej nie wyrobiło się jeszcze pojęcie narodowości, jawiące się dopiero w chwili, gdy oświata względnie wysoki osiąga poziom rozwoju.

Dzisiaj — jak to widzimy na licznych przykładach z historyi — wynarodowianie jest na ogół wziąwszy dość beznadziejnem przedsięwzięciem. Względnie wysoki poziom oświaty narodowej sprawia, iż ataki wynaradawiaczy nie osiągają celu.

Jednakże nie znaczy to, aby się z niebezpieczeństwem wynaradawiania liczyć nie było potrzeby.

Oświata, jak jest tarczą przeciwko wynarodowieniu, tak również jest wynarodowienia rajfurką.

Zależy od tego, jakiemu rodzajowi oświaty umysły i sumienia nasze otworzymy. Po dziś dzień głównem źródłem oświaty dla szerokich mas ludzkich jest prasa.

Dla milionów ludzi tworzy czasopismo jedyną i wyłączną lekturę.

Jasna tedy rzecz, że wpływ prasy na umysły ludzkie jest niezmiernie donioslý.

Szerzyć tedy wśród społeczeństwa dobre czasopisma katolickie i narodowe jest honorowym obowiązkiem każdego o zdrowie moralne społeczeństwa dbałego człowieka.

Niestety mnóstwo jest u nas rodzin polskich, które bądź to wcale nie abonują pisma polskiego, bądź prenumerują blaty niemieckie. Pierwsi wykluczają się niejako z wielkiej rodziny polskiej, a przynajmniej usuwają się z pod wpływów kultury narodowej i nie uczestniczą w rozwoju myśli polskiej, drudzy samowolnie idą na rękę rajfurskim wpływom obcej oświaty, obcej a narodowi naszemu wrogiej myśli politycznej.

Tym wszystkim wcisnąć do rąk dobre czasopismo polskie i pozyskać ich tem samem dla sprawy narodowej, oto zadanie, które się na progu nowego kwartału nastręcza.

Przyjaciół naszych upraszamy gorąco, by pomni wielkiego znaczenia prasy w kołach znajomych swoich raczyli agitować za „Pracą". My zaś z naszej strony dołożymy starań, by niwę oświaty narodowej uprawiać jaknajlepiej, aby czytelnicy nasi z lektury „Pracy" jaknajwięcej mieli korzyści.





Krakowskie Zagłębie węglowe.

Przedstawiwszy smutny stan naszego kopalnictwa w poprzednim artykule, dzisiaj zajmiemy się bliżej skutkami, jakie pociąga za sobą ten nowy zabór naszych dóbr narodowych. Otóż faktem jest, że wskutek tego zawładnięcia kopalniami przez obcych stosunki w tych okolicach układają się inaczej, nie tak jakbyśmy chcieli, a nawet tak, jakbyśmy nie życzyli sobie tego wcale. I największem złem jest to, że stosunki te dalej i coraz dla nas niekorzystniej układać się będą i my najmniejszego wpływu na nie mieć nie możemy i nie możemy ich zmienić. Obcemu bowiem właścicielowi nie może nikt zakazać zatrudnienia wyłącznie obcych lub prawie wyłącznie inżynierów, urzędników i innego rodzaju pracowników, tak, że ludowi naszemu pozostaje lub w najbliższej przyszłości pozostanie miejsce helotów, najemników ostatniego rzędu. Czemże wtedy będą się różniły okolice Krakowa od Zagłębia górnośląskiego lub ostrawsko-karwińskiego? Przychodzą tu obcy, wnoszą obcą kulturę i obce obyczaje, wnoszą nowe pojęcia i żądania. Już tu i ówdzie powstają nowe placówki, od których chronimy dziatwę naszą z takim wysiłkiem na kresach naszych wschodnich i zachodnich... szkoły niemieckie. Procent Niemców z każdym spisem ludności się wzmaga, ale wraz z tem wszystkiem wzrasta ustawicznie przemysł obcy, powstają fabryki, które z tego tytułu, że na naszej ziemi się znajdują, pod firmą krajowych propagują swe wyroby, a nawet dostają subwencye czy poparcie ze strony naszych czynników krajowych. I dziś mamy już na naszych kończynach silnie rozbudzony ruch przemysłowy, który w miarę rozwoju naszego kopalnictwa rozwija się sam żywo i ma zapewniony rozwój w przyszłości, niestety, jakkolwiek na naszej ziemi, jednak bez jakichkolwiek korzyści dla nas, przeciwnie, nawet ze szkodą naszą. Oto co pisze jeden z wybitniejszych naszych ekonomistów prof. Uniwersyteu Jagiellońskiego a obecnie dyrektor Banku krajowego Jerzy Michalski: „Nie miejsce tu na szczegółowe rozpatrywanie znaczenia tego nad wszelkie opisy, doniosłego i godnego ubolewania faktu, który zapewne nie długo każe czekać na skutki, aby w całej swej grozie wystąpić w dalszej dopiero przyszłości. I jeżeli przez karygodne zaniedbanie, niedołęstwo i lekkomyślność dopuściliśmy do stanu rzeczy, za który przyszłe pokolenia nie we wdzięcznej zachowają nas pamięci, to dziś przynajmniej nie mogąc cofnąć przeszłości i zaniedbań odrobić, obowiązkiem pierwszorzędnym bezwzględnie każdego z nas i wszystkich czynników publicznych powołanych do tego, przedewszystkiem związków samorządu kraju być powinno, aby za żadną cenę nie dopuścić do dalszego takiego rozwoju, aby ratować od przejścia w obce ręce przynajmniej te skrawki i okruchy pozostałe, nie dać się dalej dobrowolnie wywłaszczać na własnej ziemi i o każdą jej piędź, w te czarne zasobną dyamenty, walczyć do ostatniego, niemniej wszystko możliwe jeszcze czynić, aby takiej dla rozwoju kraju pod względem ekonomicznym i narodowym szkodliwej okupacyi terenów węglonośnych w granicach ustawodawstwa górniczego zapobiedz, chociażby w części i w ten sposób szkodliwość tego stanu rzeczy zredukować do minimum".

Tak pisze prof. Michalski w pracy wydanej staraniem Związku górników i hutników polskich p. t. „Monografia Zagłębia węglowego". Zaiste niezbyt wesołe muszą być horyzonty naszej przyszłości w Zagłębiu węglowem, skoro tak poważny człowiek w tak ostrych i stanowczych słowach potępia swych współziomków i gospodarkę krajową. Nie czas ani miejsce na poszukiwanie winnych tych stosunków; winni są wszyscy, którzy mieli i fundusze i możność rozpoczęcia eksploatacyi Zagłębia, ale winien jest w pierwszym rzędzie Wydział krajowy, który mógł pod swą egidą zorganizować wspaniałą akcyę obrony Zagłębia. Ale w Wydziale krajowym długie czasy nie wierzono, aby Galicya mogła się stać krajem górniczym, gdyż obawiano się ruchów socyalnych przez wytworzenie życia przemysłowego, zapominając w swym ciasnym umyśle, że czy przy ich pomocy, czy bez nich jest to rzecz nieuchronna i nie tylko nie szkodliwa, ale owszem konieczna, aby te tysiące ludu polskiego po „obcych lądach, piaskach gorących i mrozie, pośrodku obcych ludów" zmuszone były szukać kawałka chleba, aby na niwie ojczystej nie zginąć z głodu.

Wreszcie choć może późno, lecz obudził się ruch wśród społeczeństwa polskiego, zmierzający do ocalenia tego, co przynajmniej ocalić się da. Inżynier Franciszek Drobniak, człowiek, który zżył się w pracy z Zagłębiem, tak przedstawiał na jednym ze zjazdów Związku górniczo-hutniczego sprawę Zagłębia węglowego: „Nasze marzenia o zdobyciu ustawy, zabezpieczającej krajowi jego węgiel, pozostaną tylko mrzonką, bo co raz w obce dostało się ręce, tego siłą nie odbierzemy. Nam trzeba stworzyć i zabezpieczyć przedewszystkiem warsztaty pracy, już dziś nie jest różową sytuacya, a przyszłość krakowskiego Zagłębia bynajmniej nie zapowiada się dobrze, o ile siłą i energią całą nie zdobędziemy się na potężną akcyę samoobrony."

Dziś stosunki może nie poprawiły się, bo nie można mówić o poprawie tam, gdzie nic poprawić nie można, ale zmieniły się o tyle, że przynajmniej przestano lekceważyć sobie sprawy Zagłębia węglowego, przeciwnie, dzięki wzmożonej pracy jednostek zaczęto, aczkolwiek powoli, zastanawiać się nad losem nie tyle Zagłębia, które w dużej mierze zostało dla nas bezpowrotnie stracone, ile nad losem stolicy naszej Krakowa. Hasło „Hannibal ante portas" potrafiło i najospalszych przecież otrzeźwić i popchnąć do pracy. Początki tej akcyi już dziś zaczynają się ujawniać. Oto powstaje Polskie Towarzystwo Górnicze, którego zadaniem jest poszukiwanie i eksploatacya węgla. Również dzięki usilnym zabiegom reprezentacyi polskiej we Wiedniu zdołano uzyskać od rządu kreowanie Akademii górniczej w Krakowie, a nadto miasto Kraków samo poczyniło starania o rozpoczęcie eksploatacyi węgla w najbliższej jego okolicy. W ten sposób przynajmniej niebezpieczeństwo niemieckiej inwazyi przynajmniej od bram Krakowa zostało usunięte.

Być więc może, że przynajmniej dzisiaj sprawa Zagłębia węglowego w stosunku do sprawy polskiej wejdzie na nowe tory. *S. W.*

Nie możemy nigdy wiedzieć, ile zdołamy przetrzymać, dopóki nie zostaniemy wystawieni na próbę; niejedna tkliwa matka, która sądziła, że nie przeżyje śmierci dziecka, musiała kolejno pogrzebać wszystkie dzieci i męża, nadto utracić mienie do ostatniego fenyga i jeszcze zachowała siłę do życia — w potrzebie odzywa się w nas głęboko utajona siła, zdolna podołać wszystkiemu.



NA WIDOWNI.

Wydatki Niemiec na zbrojenia doszły do tej niebywałej wysokości, że na pokrycie ich nie wystarczają podatki i rząd przystępuje do operacyi niepraktykowanej w czasie pokoju: zabierania mieszkańcom na cele wojenne części ich majątku!

Już kilka tygodni minęło od powzięcia tego zamiaru; niepokój wśród ludzi majętniejszych stał się powszechny, atoli dotychczas rząd nie opracował szczegółowo swojego projektu. Niewiadoma dotychczas, jakim sposobem chce rząd zbadać stan majątkowy jednostek i niewiadoma jaka musi być wielkość majątku, aby był podciągnięty do tej kontrybucyi wojennej, dalej nie ustanowiono dotychczas wysokości cząstki, która ma być zabrana.

W sprawach tych toczą się narady, których wyniku dotychczas nie ogłoszono. Na łamach prasy niemieckiej zjawiają się tylko pomysły i projekty, nie obowiązujące nikogo.

Mimo to, że projekt owej konfiskaty części majątków przyjęto w Niemczech z ogromnym zapałem, aby dać dowód, iż pokolenie dzisiejsze jest tak samo ofiarne jak pokolenie przed stu laty (r. 1813), dziś już zapał ten znika i pisma niemieckie prowadzą polemikę między sobą o to, kto ma ponieść ofiarę patryotyczną. Dzienniki liberalne sądzą, że właściciele dóbr w pierwszym rzędzie powołani do ratowania ojczyzny, gdy pisma konserwatywne łamią sobie głowę nad tem, jakim sposobem stwierdzić majątki fabrykantów, kupców i wielkich przedsiębiorców, aby je należycie opodatkować.

Przecież nowe zbrojenia Niemiec wymagają takich wydatków, że jednorazowa kontrybucya nie wystarcza i że trzeba będzie obmyślić nowe podatki ciągłe, aby niemi pokrywać koszta.

Obecnie nad jednem i nad drugiem toczą się w Berlinie narady, a ponieważ sprawa nagli, przeto wkrótce dowiemy się, jakie nowe podatki obmyślono.

Wiemy tylko, że jeżeli ćwierć miliarda wynosić ma owa kontrybucya wojenna, to z naszych polskich majątków pójdzie na nią przeszło 15 milionów marek!

Przeciwko wydatkom występuje dotychczas tylko socyalna demokracya, która zyska sobie agitacyą tą zapewne bardzo licznych zwolenników, nawet w tych kołach, gdzie ich dotychczas nie posiadała.

Ponieważ wkrótce sejm pruski zakończy swą działalność i prawdopodobnie jeszcze przed Zielonemi Świętami zostanie rozwiązany, przeto wkrótce już rozpocznie się u nas ruch wyborczy, który jak zwykle wprawia ogół naszego społeczeństwa w ożywienie.

Chodzi rzeczywiście o to, aby polskość z tego ożywienia miała pożytek, nie szkodę.

Wybory wstępne naznaczone zostały na dzień 16 maja, wybory posłów na 3 czerwca.

Niewielki to już przedział czasu, który powinien być należycie wyzyskany.

Już w pierwszych dniach tygodnia zwróciły powszechną uwagę umysłów wypadki na Bałkanach.

Wystąpienie mocarstw, a zwłaszcza Austryi przeciw Czarnogórze, przyznanie Skadru Albanii, dalej zdobywanie krwawe przez Bułgarów Adryanopola, wszystko to sprawiło, iż znowu z przytajonym oddechem poczęto patrzeć na Wschód.

Najsilniejsze wrażenie wywarła przecież w prasie mowa angielskiego ministra Greya, wypowiedziana na wtorkowem posiedzeniu parlamentu angielskiego, odkrywająca jednym ruchem ręki zasłonę z tajemniczych układów ambasadorów.

Od razu dowiedział się świat wiele rzeczy ciekawych i o tem, że pomiędzy mocarstwami panuje zgoda co do tego, aby one, nie państwa bałkańskie, regulowały stosunki na półwyspie. Mocarstwa korzystając z przemocy chcą państwom bałkańskim pokój narzucić.

Skadr ma pozostać przy Albanii, a te ziemie bałkańskie, które dostaną się pod panowanie Słowian bałkańskich, mają znajdować się pod kontrolą mocarstw.

Mocarstwa twierdzą, że czynią to z obawy, aby przypadkiem Słowianie nie prześladowali Arnautów i Turków.

Gorżka to ironia owe współczucie i obawa o dzikich Turków i Arnautów pod panowaniem chrześcijan Słowian, gdy wieki całe mocarstwa te patrzały obojętnie na to, jak Słowian chrześcijańskich Turcy i Arnauci mordowali.

Gdy Słowianie byli pod Turkiem, gwarancyi nie żądano, dziś, gdy Słowianie na własnej ziemi, na której Turcy i Arnauci są przybyszami i rozbójnikami, mają panować, mocarstwa panowanie ich ograniczają.

Kontrola taka, którą mocarstwa zapewne pozostawią Austryi lub może Włochom, nie jest tylko uwłaczającą dla honoru bohaterskich narodów słowiańskich, ale także niebezpieczną dla ich niepodległości, ponieważ mieszanie się rządów zagranicznych do spraw wewnętrznych musi osłabić powagę rządu, a przez to uniemożliwić utrzymanie w kraju porządku.

Szczególne oburzenie powstanie z tego powodu na Rosyę, po której spodziewali się Słowianie bałkańscy, że się nie zgodzi na upokorzenie swoich pobratymców. Oburzenie na rząd rosyjski zaznacza się w samej prasie rosyjskiej, a jeden z dzienników rosyjskich, o którym wiadoma, że go sam car czyta, „Now. Wremia" wystąpił przeciw ministrowi rosyjskiemu Sazonowowi z zarzutem zdrady.

W rzeczywistości też po oświadczeniu ministra Greya rola Rosyi musi wydawać się wszystkim dwulicową, ponieważ okazuje się, że mocarstwa na konferencyi ambasadorów przyjmują jedną po drugiej uchwały wrogie Słowianom



Fot. „Camera", Z. Śniegocki w Poznaniu.
Dwór pana Juliana Kościelskiego w Złotnikach, które uległy wywłaszczeniu.
(Patrz „Nasze ryciny".)

bałkańskim, a Rosya godzi się na nie, chociaż przez swych posłów w Cetynii, Zofii i Białogrodzie zapewnia rządy państw bałkańskich o przyjaźni i uczuciach pobratymczych.

Pytanie postawić sobie należy, co państwa bałkańskie uczynią i czy zastosują się ślepo do woli mocarstw.

W chwili zamknięcia redakcyi niniejszego numeru nadchodzi wiadomość ze Sofii, iż Bułgarzy zdobyli Adryanopol po krótkim boju dnia 28-go z. m. Turcy w Adryanopolu podpalili wszystkie składy amunicyi i żywności. Podług informacyj nieurzędowych jeden pułk bułgarski już wkroczył do miasta.



Fot. „Camera", Z. Śniegocki w Poznaniu.
Pan Julian Kościelski (X) przed dworem w Złotnikach.
(Patrz „Nasze ryciny.")

Angielski minister groził im użyciem potęgi całej Europy!

Słowianie bałkańscy żyją dziś w czasie krwawych ofiar składanych na ołtarzu ojczyzny, żyją więc w wielkiem podniesieniu serca i umysłu.

Zastraszyć się nie pozwolą i zapewne każdy Serb, Czarnogorzec i Bułgar, który patrzał na poświęcenie życia braci i ojców, gotów do poświęcenia swojego życia z kimkolwiekbądź w dalszej walce.

Cóżby przeciw nim mogły wykonać państwa europejskie?

Czyżby miały krwią spływać całe Bałkany dla dyplomatycznych kombinacyj i szacherstw?

Jakkolwiek dziś wśród społeczeństw europejskich szerzy wielu ludzi zasady egoizmu i samolubstwa narodowego, to przecież jest w chrześcijańskich narodach pierwiastek dobra, który samolubstwu wybujać nie pozwoli.

Rządy europejskie muszą z tem liczyć się, że krzywdzić słabszych nie można bezkarnie.

Jakim dowodem tego pięknym, jest właśnie moment dzisiejszy, w którym Słowiańszczyzna południowa wymierza sprawiedliwość za krzywdy na wrogu ongi tak potężnym!

XIV. Zjazd delegatów

Związku Katol. Towarz. Robotników Polskich archydyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej

odbył swe tegoroczne obrady w ubiegły wtorek na Wzgórzu Św. Łazarza. Zjazd poprzedziła msza św., którą o godzinie 9 odprawił na intencyę Zjazdu Najprzew. ks. Biskup dr. Likowski w kościele Matki Boskiej Bolesnej na św. Łazarzu.

Obrady zagaił o godzinie pół do 11 ks. prałat Stychel, witając bardzo licznie zebranych delegatów, braci robotników i gości. Objąwszy za zgodą zebrania przewodnictwo, ksiądz prezes oznajmia, że zjazd zaszczyci swem przybyciem Najprzew. ks. Biskup dr. Likowski, co zebrani przyjęli z zadowoleniem.

Gdy na salę wszedł ks. Biskup i zasiadł na estradzie, powitał go ks. prałat Stychel w imieniu swojem i wszystkich zebranych. Mamy tem większy powód do wdzięczności — mówił ksiądz prezes — że mimo, iż ks. Biskup miał w ostatnim czasie do walczenia z niedyspozycyą, raczył odprawić dziś nabożeństwo i zaszczycić to zebranie, co dowodzi, że władza duchowna roztacza swą opiekę nad sprawami robotniczemi.

Ks. Biskup dziękując za powitanie, w te mniejwięcej przemówił słowa: Rzeczą naturalną jest, że od czasu, kiedy Pan Bóg postawił mnie na czele dyecezyi naszej, musi mnie obchodzić rozwój tej wielkiej organizacyi, jaką tworzą Kat. Towarzystwa robotników polskich. Organizacya ta bardzo blizką jest sercu memu, a mianowicie napełnia mnie radością, że stanęła od samego początku na gruncie religijnym, kościelnym, a napełnia mnie ten objaw radością tem większą, że nie zbywa u nas żywiołów, które starają się ten grunt podkopać, które osłabiają powagę władzy duchownej i ducha wiary. Niech się wzmacnia i rozszerza, niech przyczyni się Związek Kat. Towarzystw robotników polskich do wzmocnienia ducha wiary. Ks. Biskup kończy swe przemówienie życzeniem, by spełniło się wszystko, czego Towarzystwa robotnicze sobie życzą.

Po krótkim jeszcze pobycie ks. Biskup pożegnał zgromadzenie udzielając wszystkim obecnym swego arcypasterskiego błogosławieństwa. Kiedy ks. Biskup opuszczał salę, uczczono go trzykrotnym gromkim okrzykiem „Niech żyje!"



Fot. „Camera", Z. Śniegocki w Poznaniu.
Dwór pana M. Zabłockiego w Dobskach, które uległy wywłaszczeniu.
(Patrz „Nasze ryciny".)

Z kolei generalny sekretarz Związku ks.kan. Lisiecki przedłożył projekt etatu Związku na rok 1913, który u-

stanowiono w dochodach i rozchodach w sumie 19 400 mrk. Po krótkiej nad projektem dyskusyi przyjęto przedłożony etat prawie jednogłośnie.

Ze sprawozdania głównego zarządu przekonujemy się,że Kat. Tow. robotników polskich rozwijają się bardzo korzystnie. Podczas gdy w roku 1911 liczył Związek 250 Towarzystw z ogólną liczbą 31 301 członków, należały przy końcu roku 1912 do Związku 262 Towarzystwa z 33 498 członkami. Ponieważ jednak w starych Towarzystwach liczba członków się zmniejszyła, przeto obecnie ma związek tylko 30 827 członków, czyli 474 mniej. Usunęło się 7 Towarzystw związkowych walczących z trudnościami miejscowemi.

Własne biblioteki posiada 157 Towarzystw, a liczą one razem 23 966 książek.

Kasy pośmiertne istnieją w 173 Towarzystwach.

Majątek Towarzystw, należących do Związku przedstawia poważną sumę 149 233,81 mrk. Nie podaną jest w tej sumie wartość nieruchomości.

Następnie zdawał ks. kan. Lisiecki sprawozdanie z czynności Związku w roku 1912. Wyjątkowo w tym roku wszystkie Towarzystwa przysłały swe sprawozdania. Ksiądz sekretarz przedłożył liczebny rozwój Towarzystw na podstawie kolorowanych tablic, poczem przyjęto szereg rezolucyj.

Obrady popołudniowe rozpoczęły się o godzinie 3-ciej referatami p. Tomasza Minierskiego ze Środy na temat: „Oświata i organizacya“ i ks. Antoniego Ludwiczaka z Pniew na temat: „Sprawa robotnicza w świetle nauki Kościoła katolickiego.“ Referentom podziękowali zebrani za pouczające słowa.

Następnie uchwalono znieść związkową kasę pośmiertną. W zamian za to upoważnia Zjazd delegatów Zarząd główny do przeprowadzenia stosownej umowy z „Westą,“ bankiem wzajemnych ubezpieczeń, tak, ażeby dla członków Związku można wyjednać korzystne i pewne zabezpieczenie życiowe.

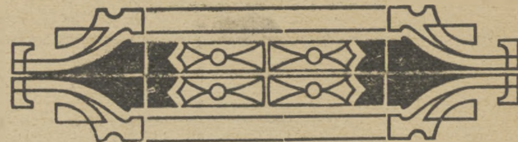
Pan Chwaliszewski, prezes Związku polskich robotników na Niemcy w Berlinie, przyniósł pozdrowienie od Polaków na obczyźnie i prosi o poparcie moralne i opiekę religijną ze strony Towarzystw Związkowych poznańskich, za to przyrzeka, że rodacy nasi na obczyźnie wiernie stać będą na gruncie religijnym i narodowym.

Około godziny 6-tej ks. prałat Stychel zamknął zjazd, który miał przebieg poważny, spokojny i pouczający.





Fot. „Camera“, Z. Śniegocki w Poznaniu.
Państwo Zabłoccy na werandzie przed dworem w Dobskach, które uległy wywłaszczeniu. (Ojciec, matka i syn Mieczysław, ostatni właściciel Dobsk).
(Patrz „Nasze ryciny“.)



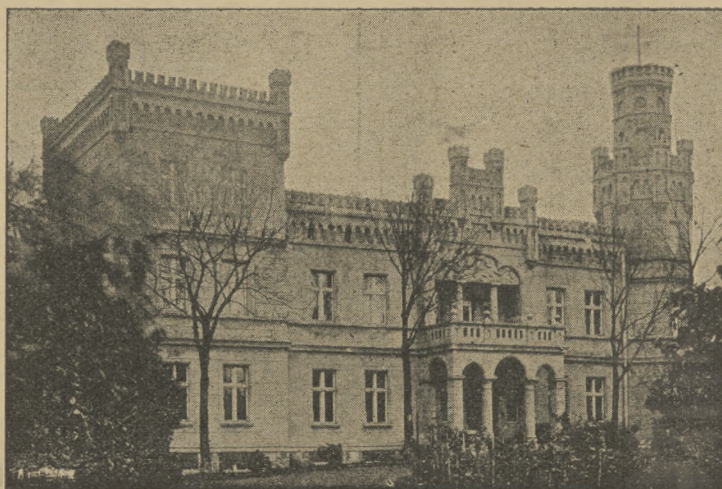
Dr. Zdzisław Leitgeber.

Trembecki jako polityk.

Znakomity poeta i największy przed Słowackim stylista polski Stanisław Trembecki ujrzał jako syn właściciela ziemskiego światło dzienne w województwie krakowskiem między rokiem 1728 a 1730. O jego chłopięcym i młodzieńczym wieku nie posiadamy żadnych wiadomości; wiemy jedynie, iż uczęszczając na Wszechnicę Jagiellońską dobrze się zaznajomił z utworami złotego okresu i język Kochanowskich do tego sobie przyswoił stopnia, że sam później był mistrzem słowa. Nie zadowolony z wiedzy pozyskanej w ojczyźnie, wyjechał do Francyi w celu dalszego kształcenia się, lecz pobyt w Paryżu niekorzystnie na niego oddziałał. Trembecki oddał się tu życiu hulaszczemu i roztrwonił majątek ojcowski, a upamiętanie nastąpiło dopiero, gdy w kiesie dukatów zabrakło. Rad nie rad wrócił wtedy do kraju, w którym już król Stanisław August Poniatowski dzierżył berło, zyskane przez romans z Katarzyną II., przez ruble i bagnety rosyjskie.

Przed Trembeckim straszna się otwierała przyszłość; obie wioski po ojcu dziedziczone obarczał ogromny dług; zabrakło pieniędzy nawet na pędzenie znośnego żywota.

Z okropnego położenia wyswobadza go Poniatowski niespodzianie przez zawezwanie na swój dwór królewski. Trembecki nie omieszkuje śpieszyć do Warszawy i wdzięczny wybawcy za ochronienie od nędzy, służy mu odtąd nieustannie i wiernie jak pies przywiązany do pana:



Fot. „Camera“, Z. Śniegocki w Poznaniu.
Dwór w Kołdrąbiu, który uległ wywłaszczeniu.
(Patrz „Nasze ryciny“.)

Nie możemy zdążać ku pomyślności dopóki nie skierujemy ku niej swych myśli — wpatrzeni w rozpacz, nie zawiniemy nigdy do portu rozkoszy.

* * *

Człowiek wiecznie narzekający nie może mieć powodzenia — zwyczaj widzenia —zwyczaj widzenia wszystkiego w czarnych kolorach, musi fatalnie oddziaływać na losy jego.

Czy dola szczęsna, czy skołatana
Przez dzikie ludów narowy,
Ten zawsze strzegąc stóp swego pana,
Żywot dać przy nich gotowy.

Z radością myśli wszystko to znosi,
Co zdarza dola niebieska,
Służy najwierniej, o nic nie prosi —
Mójże to obraz, czy pieska?

Przywdziawszy strój dworzanina, przejął się Trembecki polityką dobroczyńcy. Pierwszym dowodem tego jest wiersz napisany krótko po pierwszym rozbiorze p. t. „Na dzień 7-go września, w rocznicę elekcyi króla Stanisława Augusta". Poprosiwszy „Prawdę", aby mu przyświecała przy składaniu rymów, poeta cieszy się z elekcyi, podczas której „jednomyślnie" monarchą okrzyknięto Stanisława. Lecz bóstwo „Prawdy" niezbyt dokładnie objaśniło piszącego, gdyż on nic nie wspomina o stronnictwie hetmańskiem, nieprzychylnem wyborowi i zamilcza o gospodarce moskiewskiej w dobie elekcyi i zachodach Poniatowskiego, który za ruble Katarzyny skupywał sobie głosy. Panegirycznem jest opowiadanie o tem, jak to Poniatowski chłopięciem jeszcze się zapuszczał w labirynt „ludorządztwa" kręty; do tych dziecięcych zabaw dołącza poeta opis młodzieńczych niby zasług przyszłego króla, który:

Słan do mocarstwa w randze znamienitej,
Wielkie oddał przysługi Rzeczypospolitej.

W ten sposób pochwalnemi rymami odpłaca się Trembecki swojemu karmicielowi za przytułek, za 600 dukatów rocznej pensyi, za order św. Stanisława i tytuł szambelana... W dalszej osnowie wspomnianego wiersza przedstawia autor porwanie króla przez konfederatów barskich zowiąc ich „srogą zgrają" i „skrytymi a bezecnymi hultajami"... Plamę pierwszego rozbioru pragnąłby zmazać ze skroni królewskiej i złożyć ciężar odpowiedzialności na Augusta Mocnego i Augusta III., oraz na liberum veto.

Krótko, ale dosadnie charakteryzuje obu Sasów:

Tamten pijał, a tamten całe życie drzemał.

Również dobitnie karci zgubność wolności polskiej:

Co tysiąc dobrych mężów zbawiennie uradzi,
Przekupny pijanica jednem słowem zgładzi.

Trembecki mógłby był oddać znaczne przysługi społeczeństwu; niestety, we Francyi ostygła gorącość jego uczuć patryotycznych, a na zamku królewskim utracił niezależność duchową. Zamiast stać się drugim Tyrteuszem, wolał być echem Stanisława Poniatowskiego.

Znakomcie skreślony jest smutny wizerunek kraju w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta we wierszu na śmierć Michała Fryderyka Czartoryskiego:

Gdy nas ten fałsz, iż Polskę nierząd trzyma, łudzi —
Śpiąca Rzeczpospolita co dwa lat się budzi;
Niebaczna, że z niej czuli szukają obłowu,
Ockniona ziewnie tylko i zasypia znowu.

Jakoż król przekonany o niemocy narodu, a nie ufając w podźwignięcie go własnemi siłami, czepia się Rosyi lub wygłasza swoje żale nad smutnem położeniem, nie przykładając się niczem do naprawy sytuacyi.



Fot. „Camera", Z. Śniegocki w Poznaniu.
Panowie Trzcińscy, ojciec i syn, właściciel Koldrąbia, który uległ wywłaszczeniu
(Patrz „Nasze ryciny".)



Fot. „Camera", Z. Śniegocki w Poznaniu.
Plebania w Koldrąbiu.
(Patrz „Nasze ryciny".)

Za wzorem króla także Trembecki nad Newą szuka zbawienia; wielkie rokuje nadzieje z powodu zjazdu wielkiego księcia Pawła z Poniatowskim (1781), a następnego roku witając Krasickiego, przybywającego z obczyzny, to znaczy Prus Zachodnich, odpadłych przy pierwszym podziale, roni łzy nad niedawno poniesionym uszczerbkiem i wylicza następne przyczyny krajowego nieszczęścia:

Żądza cudzego wziątku, niedbalstwo o swoje,
Gnuśność, zbytek powszechny, wnętrzne niepokoje,
Brak, gdzie trzeba słuszności, a podłości przemoc,
Wprawiły ziemię polską w tę okropną niemoc.

Gwałt publiczny nazywa przezorny poeta „żądzą cudzego wziątku"; boi się widocznie urazić Rosyę, na której wraz z monarchą buduje przyszłość Rzeczypospolitej... Zdradza on otwarcie ten zamysł w liście pod napisem „Gość w Heilsbergu", poświęconym warmińskiemu arcybiskupowi. Oświadcza tu, iż gdyby mógł być tak natchnionym jak Krasicki, radziłby stanom rozważającym nad losem kraju, aby co tylko można naprawiali osłonięci tarczą Minerwy, którą świat pod imieniem Katarzyny wielbi. Przy niej jedynie zdoła Polska odznaczyć się politycznie jako pośredniczka w przyszłych bojach carowej z Turcyą

i Szwedami. Nadto, czemużby nie zbliżyć się do Moskali! Toć

Te związki przyzwoitsze i pomnieć się godzi,
Iż Rusin z jednych z nami początków pochodzi;
Jedna krew, jeden język, taż natura twarda,
Taż śmiałość niewzruszona i śmierci pogarda.

Przejęty temi marzeniami, Trembecki odgraża się Austryi i Prusom, których z głębi serca nienawidzi:

Nigdy nam straszne nie były Teutony
Szerzące się przez chytrość, przez kupno i żony;
Z tych jedni byli nasi hołdownicy wczora,
Drugicheśmy z pod pogan wydarli topora.

Rozgniewany na Niemców, zapomina zupełnie o złem, płynącem z Rosyi i w wierszu do Naruszewicza, mającego towarzyszyć królowi w podróży do Kaniowa, wynosi pod obłoki Katarzynę jako troskliwą opiekunkę ludzkiego plemienia, od której nam „gojące popłyną balsamy" i zaklinając biskupa, aby ją w swoich pismach uwiecznił, rozrzuca pochwały między Potemkina i Romańcowa, tak jak niegdyś sławił admirała rosyjskiego księcia Nassau-Siegen.

Tymczasem w rok po wspomnianym zjeździe zaczynają się zapasy Rosyi z Turcyą... W Polsce rozpoczyna się sejm wielki i zbawienne obmyśla ustawy. Chwiejny król nie chcąc utracić sympatyi narodu, rzuca się w objęcia „patryotów", a w jego ślady idzie nadworny poeta.

Gromi liczne w stolicy rozmnożone paszkwile, godzące w dziedziczność tronu, popieraną na sejmie i zaklina autorów, aby wraz z odradzającą odrodzili się ojczyzną i występowali otwarcie i we wznosłych tylko celach... W wierszu p. t. „Bielawski do anonima" zachęca nieznanego poetę do opiewania sejmu „słynnego, pracowitego, cnotliwego, użytecznego i czynnego".

W wierszu „Do współziomków" płomiennemi słowy wzywa do poniechania względów osobistych, do wyznaczenia silnych miar obrony; wyszydza zbytki i lekkomyślność; ostrzega wkońcu posłów przed Prusakami, zbliżającymi się na pozór w przyjaznej intencyi do Polski; wkońcu w wyrazach pełnych mocy woła odważnie:

My na środku żelaznej wychowani ziemi,
Umiemy kuć oręże, zręcznie władać niemi.

Porównawszy króla zbrojącego w przyszłości świeże zasiłki wojenne z orłem sposobiącym pisklęta do lotu, zwołuje rodaków przed pomnik Sobieskiego i głosi z zapałem:

Idźmy ten uczcić posąg walecznego Jana,
A przed nim na dobyte przysiążmy pałasze
Za niepodległość kraju łożyć gardła nasze.

Słowa Trembeckiego niemal lotem błyskawicy rozpowszechniły się w Warszawie. Przyjmowano je z gorącym poklaskiem, a anonim jakiś odpowiedział w dziękczynnych rymach na tę płomienną apostrofę, prosząc „patryotycznego" poetę o zachowanie nadal ciepłych uczuć dla ojczystej sprawy.

Trembecki posłuchał zachęty i żarliwie śledzi czynności posiedzeń sejmowych. Gdy przed ogłoszeniem konstytucyi 3-go maja Warszawę zarzucono mnogiemi rozprawami za i przeciw wolnym wyborom królów, roztrząsa treść ważniejszych broszur we wierszu p. t. „Joannes Sarcasmus". Podziela on tu zapatrywanie Kołłontaja i chwali Morskiego, żądającego zaprowadzenia dziedziczności tronu; naśmiewa się z hetmana Rzewuskiego, pragnącego wzmocnić interesy możnowładztwa i gromi Turskiego, zwolennika bezkrólewia czyli elekcyi, grożąc mu jako pierwszemu konsulowi Rzeczypospolitej domem poprawy i chłostą.

Nie potrwał atoli długo patryotyczny szał Trembeckiego. Za wkroczeniem wojsk rosyjskich na Litwę i Ukrainę, powrócił on do pełzającej polityki.

Moskalom nie podobało się, że Polska powstaje z wiekowej niemocy; za przyczynieniem się Potockiego, Rzewuskiego i Branickiego, weszli więc w granice Rzeczpospolitej. Polacy chwycili za oręż w obronie konstytucyi i niepodległości, lecz król zdradził sprawę, łącząc się z konfederacyą targowicką i wycofując z pola walki wojska pod Dubienką i Zieleńcami wsławione... Dokonano drugiego rozbioru, a sejm grodzieński potwierdził go, nie mając do tego wogóle prawa! Gdyż komu wolno odstępować dzielnice, nie jak w postronnych krajach przez grabież do siebie przykute, lecz zespolone razem przez dobrą wolę i przez Unię?...

Rozgoryczenie owładnęło społeczeństwem.

Król obawiając sę zarzutów i wymówek, nakłania Trembeckiego do uniewinnienia grodzieńskich posłów. Ten, spełniając zlecenie, stara się ich oczyścić, a utyskuje natomiast nad narodem polskim, który niecierpliwością i burzliwością zwabił ościenne państwa; nie waha się także obrzucić błotem sejmu wielkiego, choć niedawno sam posłów jego chwalił i pod niebo wynosił.

Uczyniwszy tę krzywdę społeczeństwu własnemu, nie omieszkał Trembecki jeszcze jeden krok dalej się posunąć.



Fot. „Camera", Z. Śniegocki w Poznaniu.

Święcone dla biednych, urządzone staraniem Towarzystwa „Kuchnia dla ubogich" w Poznaniu.

Salka Domu Katolickiego, na której odbywają się posiedzenia wielu naszych towarzystw, przybrała w wielką sobotę wygląd całkiem odmienny. Na poustawianych w szeregi stołach widniał las małych chorągiewek, oznaczających porcye święconego dla najbiedniejszych z biednych — a porcyj, na które złożyła się dobroczynność ludzka, było przeszło czterysta. Ksiądz szambelan Kłos, patron Towarzystwa, przemówił serdecznie do zebranych dzieci, tłumacząc im znaczenie świąt wielkanocnych i upominając, aby były pobożne i dobre. Po przemówieniu, dokonał poświęcenia ułożonych na stołach potraw, poczem nastąpiło rozdzielenie porcyj według ułożonych już poprzednio spisów.

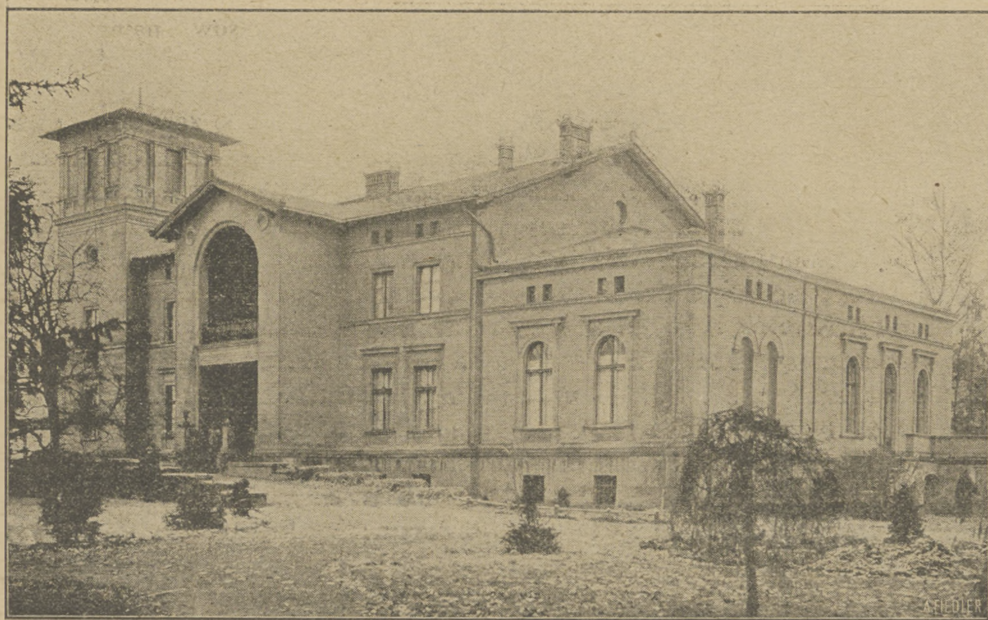
Zadowolenie malowało się na twarzach obdarowanych, ale nie mniejsze na twarzach pań, które z wesołym uśmiechem krzątały się nad urządzeniem święconego, z tem błogiem uczuciem, że spełniają czyn dobry, Bogu miły — czyn miłosierdzia.

Otóż chcąc uprosić łaskę i względy dla Stanisława Augusta pozbawionego korony, składa hołdy księciu Repninowi w wierszu obniżającym cześć imienia polskiego.

Jest to ostatni jego występ polityczny.

Po trzecim rozbiorze ten niegdyś nieulękniony szermierz i obrońca Stanisława Augusta przechodzi do jego wroga Potockiego i wysługuje mu się równie wiernie do końca dni swoich. Jak dawniej króla wysławiał, tak teraz żyje i rymuje dla Potockiego; pisze poemat o „Zofiówce" i głosi w nim, że nad Potockich wyższej i zaszczytniejszej niema wogóle rodziny...

Trembecki był niezwykłym poetą; nikt przed nim tak wytwornych rymów nie składał, tak misternie słów nie dobierał. Współcześni pisarze uważali go za największego z pośród siebie, zazdrościli mu talentu i sławy; — on sam natomiast lekceważył płody swego pióra. Nic mu świętem nie było; zmieniał zapatrywania polityczne, drwił sobie z religii, a ludzi i wypadki oceniał nie według wartości i zasług, lecz według potrzeb chwili... Człowek o tym pokroju nie mógł zostać pisarzem narodowym; ziomkowie o nim zapomnieli, a jego lutnia zamilkła w kurzu i pleśni jak dźwięczny dzwon, zaklęty w głuchem jeziorze.



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Modrze.

Podobizny dworów polskich w W. Księstwie Poznańskiem.

(Ciąg dalszy.)

Zamieszczamy w dalszym ciągu trzy podobizny dworów, które są pomniejszonemi reprodukcyami wspaniałych ilustracyj umieszczonych w luksusowem dziele p. L. Durczykiewicza z Czempinia p. t. „Dwory Polskie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem." Nakładem p. L. Durczykiewicza, czcionkami drukarni „Pracy".

Modrze w powiecie poznańskim zachodnim, własność T. z o. p. — Majątek ten należy do starożytnych siedzib książąt wielkopolskich. W drugiej połowie 13. wieku należało Modrze do księcia Przemysława I. W późniejszych czasach stanowiło ono królewszczyznę, należącą do starostwa kościańskiego. — Dnia 9. stycznia 1265 roku zmarła tutaj księżniczka Elżbieta, żona księcia wielkopolskiego Przemysława I. W starych kronikach wyczytać można, że w roku 1771 dzierżawił dobra te Ignacy Twardowski. Po rozbiorze Polski stanowiło Modrze własność prywatną. Między innymi była w połowie 19. wieku właścicielką Modrza z Chłapowskich Engeströmowa, która wskutek rozrzutnego życia zmuszoną była sprzedać majętność Niemcowi. W końcu 19. wieku należało Modrze do Baarth'ów, Niemców, od których majątek ten kupił za wyjątkowo wysoką cenę p. Marcin Biedermann z Poznania, ratując go przed kolonizacyą, a od tegoż nabyli obecni właściciele. Dwór stojący w parku jest murowany i dość przestworny, pochodzi z drugiej połowy 19. wieku (około 1888 roku); wystawili go Baarthowie. — O starożytnem pochodzeniu Modrza świadczą wykopaliska; między innemi znaleziono tutaj całe cmentarzysko pogańskie. Już w 13-tym wieku był tu kościół drewniany pod wezwaniem św. Idziego, po spłonięciu tegoż zbudowano w roku 1704 nowy kościół murowany i to mianowicie staraniem ówczesnego proboszcza, księdza Jerzego Chudzickiego, profesora szkoły akademickiej w Poznaniu.

Rudki w powiecie szamotulskim, własność Mańkowskich.

Żerniki w powiecie wrzesińskim, własność Feliksa Ostoja-Alkiewicza. Majątek ten, nabyty drogą kupna od Tadeusza Chełmickiego, jest od roku 1897 w posiadaniu obecnego właściciela. — Dwór wybudowany został przez poprzednich właścicieli — Węsierskiego, a częściowo przez jego następcę T. Chełmickiego. — W parku znajduje się pomnik wieszcza naszego Adama Mickiewicza.

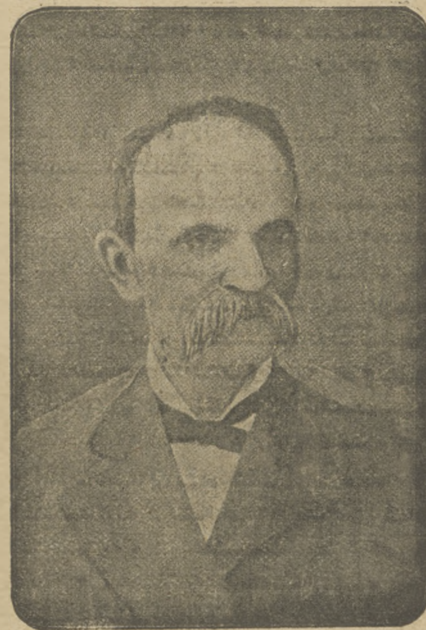
(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pisarz żołnierz.

Dziewięćdziesiąt lat minęło w pierwszy dzień Wielkiejnocy od chwili urodzin jednego z najzasłużeńszych naszych pisarzy, patryotów i obywateli: 23 marca 1824 r. przyszedł na świat w Saracei nad Dniestrem na Podolu Zygmunt Miłkowski, znany całej europejskiej i zaoceanowej Polsce pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża.

Znany, to zamało. Bo cała Polska, gdzie tylko leży piędź jedna tej nieszczęśliwej ziemi, gdzie choć na obczyźnie dalekiej, jedno serce polskie dla niej uderza — oddawna pułkownika Miłkowskiego gorąco kochała i kocha. Całe społeczeństwo szanuje oddawna w Jeżu przedewszystkiem patryotę bez skazy. Ma charakter nieskazitelnie czysty, serce, którego szczerej miłości nie ostudził



T. T. Jeż. (Zygmunt Miłkowski).



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Rudki.

dotąd ani wiek, ani żadne z tylu przeżytych i przecierpianych rozczarowań, ani tułaczka po obczyźnie długa, ani zmiana żadna w poglądach i prądach nowego czasu.

W dwudziestym drugim roku życia, ukończywszy liceum odeskie stanął Jeż do czynnej dla kraju i ziomków pracy. Odtąd sześćdziesiąty ósmy rok mija, a sędziwy, dziewięćdziesięcioletni starzec idzie wciąż jeszcze w pierwszym szeregu najlepszych, najszlachetniejszych sił naszych narodowych, krzepko wznosząc nad nasze głowy sztandar miłości ojczyzny, obywatelstwa prawdziwego i niezmordowanej czynnej służby ideowej zawsze popieranej czynem i opartej na czynie, zawsze przeglądającej się w kryształowo czystej prawości ducha i charakteru.

Chorąży Polski starej idący przed Polską nową! Obywatel, w którego słowo wszyscy nauczyli się oddawna wierzyć, bo zawsze ono szczere, prawdziwe, gardzące wszelkiem kłamstwem, proste a jak rycerska klinga jasne i szlachetne było!

Chadzał pułkownik Jeż innemi czasy i z szablą rycerską, broniąc najwznioślejszych ideałów ludzkich po obcych, cudzych ziemiach, potem, kiedy szablę na pióro zamienił, pozostał nadal żołnierz i obywatel w pisarzu, pozostała w mnogich jego utworach ta szlachetna i prosta otwartość myśli i szczerość słowa, to samo bezwzględne umiłowanie rodzonej ziemi i prawdy, któremi jak szablą przez tyle lat „krzyżową sztukę" rąbał i jeszcze rąbie....!

W niedoli, co od długiego pasma klęskowych lat opasuje nas zewsząd, głos Jeża biegnie do kraju zawsze z otuchą, z pociechą na pokrzepek serca, nam wszystkim...

Bodajby jeszcze długo brzmiał!

Dziś, może więcej, niż kiedybądź pragnie nasz kraj czuć, że na straży jego społecznego sumienia stoi

„...Ktoś nam znany,
„Ktoś serdeczny, ktoś kochany
„Ktoś, co groźny — dawny, stary,
„Jak wiek cały....
dawnej wiary...!")*



Z żałobnej karty.

Ś. p. Walery Przyborowski.

Dnia 13-go b. m. zmarł w Warszawie, przybywszy tu z Radomia, gdzie mieszkał przez ostatnich kilka lat, szukać pomocy w ciężkiem cierpieniu, wybitny historyk czasów najnowszych i poczytny powieściopisarz Walery Przyborowski.

Światło dzienne ujrzał w Domaszowicach, w ziemi kieleckiej, w roku 1845. Kształcił się w gimnazyum kieleckiem i radomskiem i na wydziale historyczno-filologicznym Szkoły Głównej. Porwany przez burzę 1863 roku, pospołu z bratem Stanisławem zaciągnął się do oddziału Maryana Langieskiego i Ososuka. Porywy swoje przypłacił ranami i więzieniem.

Od roku 1869 osiadł na stałe w Warszawie i oddał się pracy literackiej w gronie „młodych", skupiających się około „Opiekuna domowego" Henryka Perzyńskiego i „Przeglądu tygodniowego" Adama Wiślickiego. Dziennikarstwo mało go jednak pociągało ku sobie, ulubionem i prawie wyłącznem polem uprawy stała się dla niego beletrystyka.

Zaczął od powieści społecznych, poruszających zagadnienia bieżące, których tyle doba powstaniowa nasunęła. Takiemi są: „Hinda" (1869 r.), „Życie za marzenie" (1871 r.), „Na mogile" (1873 r.), „Na partykularzu" (t. r.), „Bicz korali" (1879 r.), „Magdalena" (1883 r.) Powieści te szwankują pod względem budowy i artyzmu, więc popadły już w zapomnienie, ale swego czasu, dzięki tendencyi szlachetnej i żywotnej, były chciwie czytane.

Szczęśliwszym okazał się w powieściach na tle historycznem. Grube zarysy, jaskrawe barwy i brak cieniów mniej w nich raziły, owszem, zbliżały do arcydzieł tego rodzaju Aleksandra Dumasa, zwłaszcza, że Przyborowski umiał wynajdywać tragiczne tematy i rozwiązywać zawiłe sytuacye. Jakoż powieści cieszyły się przed laty dużym rozgłosem, osobliwie: „Aryanie" (1875 r.), „Wysokie progi" (1891 r.), „Rubin wezyrski" (1879 r.), „Zajazd o cześni-



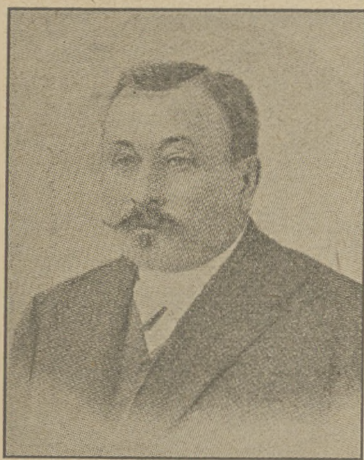
Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Żerniki

*) St. Wyspiański: „Wesele".

kównę" (1883 r.), „Księżniczka z Münstenberga" (1878 roku), „Widmo na Kanonii" (1892 r.), „Rycerz Mora" (1897 r.) i t. d.

Dar żywego opowiadania pospołu ze znajomością przeszłości najlepiej zużytkował Przyborowski w licznych powieściach dla młodzieży, których cały szereg napisał. Rzec można, że całe dzieje porozbiorowe Polski opowiedział młodym pokoleniom w formie zajmującej dla nich i przystępnej. Pierwszą z nich była „Bitwa pod Raszynem" (1881 r.), poczem kolejno się ukazały: „Austryacy w Warszawie" (1902 roku), „Na San Domingo" (t. r.), „Młody konfederat barski" (1904 r.), „Było to pod Jeną" (t. r.), „Racławice" (1906 r.), „Olszynka grochowska" (1907 r.), „Pod Stoczkiem" (1908 r.), „Grom maciejowicki" t. r.), „Reduta Woli" (t. r.), „Berezyna" (1910 r.) i t. d.



† Ś. p. Walery Przyborowski.

Dla młodzieży również napisał „Dzieje Polski" (1879 r.), później przerobione i ponownie wydane, a które swego czasu wywołały surowe, po części słuszne zarzuty i z powodu usterek faktycznych, i z powodu zapatrywań autora na przeszłość naszą.

Całą zaś burzę wywołała praca Przyborowskiego pod tyt. „Włościanie u nas i gdzieindziej" (1881 r.), w samej rzeczy zbyt jednostronnie i za namiętnie napisana. Oburzenie na Przyborowskiego, że śmiał prawdę, a przynajmniej to, co za prawdę poczytywał, jawnie głosić, doszło aż do ostracyzmu, kiedy w r. 1885 założył w Warszawie dziennik „Chwila," w którym wytykał błędy polityki naszej porozbiorowej i usiłował przekonać o potrzebie porozumienia z Rosyą. Oczywiście Przyborowski pojmował porozumienie na podstawie ugody „równego z równym," ale w ówczesnych warunkach cenzuralnych myśli swoich jasno wyłożyć nie mógł — co już samo było najlepszą odpowiedzią i świadczyło, że chwila dla „Chwili" była jak najgorzej wybrana. Społeczeństwo potępiło krok nieoględny i niewczesny i „Chwila" nawet roku nie pożyła. Sam Przyborowski wprędce pojął, że popełnił co najmniej nietakt polityczny.

Dojrzały, przetrawiony sąd o dążeniach i kolejach narodu polskiego w XIX. stuleciu wypowiedział Walery Przyborowski dopiero w „Historyi dwu lat" (Kraków, 1895 r., tomów 5), w „Dziejach 1863 roku" tamże, 1897 r., tomów 4) i w „Przyczynach upadku Polski" (Warszawa, 1907 r.). Dzieła te są owocem olbrzymiej pracy, zużytkowania ogromnego materyału drukowanego i rękopiśmiennego, zwłaszcza akt rządu powstańczego, które szczęśliwym trafem w ręce Przyborowskiego się dostały.

Wszystkich prac literackich Przyborowskiego, nawet książkowych, niepodobna wymienić, a cóż dopiero rozproszonych po czasopismach, jak „Biesiada literacka," „Ziarno," „Wiek," „Gazeta warszawska" i inne.

Ogromny dorobek historyczny i literacki Przyborowskiego odznacza się skrzętnem i sumiennem wyzyskaniem materyału, bogactwem faktów, dokumentów i szczegółów.

Cześć pamięci zasłużonego pisarza-historyka, spokój Jego duszy!

* * *

Ś. p. Emil Czarliński.

Smutna z Zachodnich Prus doszła nas wieść. Ś. p. Emil Czarliński, dawniejszy właściciel Brąchnówka, przeniósł się do wieczności. Zszedł do grobu jeden z najstarszych, ojczyźnie dobrze zasłużonych obywateli zachodnio-pruskich.

Wychowany w tradycyach polskich i szczerze katolickich, brał od samej swej młodości udział w pracach narodowych, wspólnie z mężami takimi, jak Edward Donimirski, Hyacent Jackowski, Ignacy Łyskowski, Kraziewicz, Danielewski, Zygmunt Działowski i inni. Nazwisko jego dodatnio we wszystkich głównych zachodnio-pruskich figuruje organizacyach, w Towarzystwie Pomocy Naukowej na Prusy Zachodnie, w towarzystwie naukowem toruńskiem, w Kółkach gospodarczych, skoncentrowanych pierwotnie około organu „Gospodarz," wychodzącego przez wiele lat w Toruniu z wielkim pożytkiem dla społeczeństwa polskiego.

Że wszędzie służył radą i czynem, a mianowicie też hojnemi datkami, podnosić nie potrzebujemy. Zjednał więc sobie powszechny szacunek i zaufanie. Gdy po wojnie austryackiej utworzył się „Północno - niemiecki Związek," wstąpił ś. p. Emil Czarliński na szerszą arenę polityczną, zastępując najpierw w konstytuancie, a później w parlamencie „Związku Północno-niemieckiego," od roku 1867 aż do 1871 r., obwód wejherowsko-kartuzki. Poza tem był również i członkiem pruskiej izby poselskiej przez cały szereg lat.

Starsza generacya przypomni sobie jeszcze, jak gorącym przejęty patryotyzmem, a równocześnie wiarą w naszą przyszłość walczył jako mówca obok Kantaka, ks. Jażdżewskiego, Leona Czarlińskiego, Wierzbińskiego, Magdzińskiego, Rożańskiego i innych, a szczególnie w czasie walki kulturnej w r. 1875. Znane są też jego usiłowania zachowania harmonii i solidarności w Kole polskiem w czasie pewnego rozstroju w kraju, jaki się ujawniał w r. 1891. On to poprzednio na wiecu gdańskim w r. 1891 przedstawiał obszernie niemieckim wiecownikom sprawę potrzeby nauczania języka polskiego.



Trojęta: Józefa, Tomasz i Kaźmierz Kowalscy, urodzeni d. 28. 2. 1902 w Sworowie, parafii Golejewko p. Rawiczem, z ojca Jana Kowalskiego i matki Weroniki Goczliny, dzisiaj mają lat 11, wszyscy normalni i zdrowi, co należy do rzadkości w takich przypadkach. Oto jak się rozmnażają „króliki" polskie!



Bitwa pod Racławicami, stoczona dnia 4-go kwietnia 1794 roku.
(Rycina historyczna.)

W latach ostatnich, w podeszłym już będąc wieku, mniej czynny brał udział w pracach publicznych, interesował się wszakże niemi aż do końca życia. Zgasł licząc lat 79, pozostawiwszy po sobie pamięć zacnego i gorliwego obywatela. Cześć Jego pamięci! Spokój Jego duszy!

Uroczystość srebrnych godów ks. prałata Laubitza.

Parafianie inowrocławscy obchodzili dnia 25-go b. m. uroczystość srebrnych godów ks. prałata Antoniego Laubitza. W dniu wzmiankowanym odbyła się w przepełnionej wiernymi świątyni św. Mikołaja uroczysta msza św., którą odprawił czcigodny Jubilat w asyście księży Wilkansa i Zielińskiego. Podniosłe pienia wykonał chór kościelny przy towarzyszeniu orkiestry pod kierunkiem swego dyrygenta p. Surzyńskiego.

Ks. prałat Laubitz urodził się w roku 1861. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Trzemesznie i Poznaniu słuchał św. teologii w seminaryum poznańskiem i gnieźnieńskiem oraz na wydziale teologicznym w Wyrcburgu. Wyświęcony na kapłana 11-go marca 1888 roku, powołany został na wikaryusza do Inowrocławia, gdzie do dziś dnia pozostał. W roku 1895 został proboszczem inowrocławskim. Roku 1901 mianuje go ś. p. ks. arcybiskup Stablewski radcą duchownym. W roku 1906 zostaje ks. Laubitz szambelanem Ojca św.



Ks. prałat Laubitz.

Czcigodnemu Jubilatowi i zasłużonemu pracownikowi na niwie społeczno-kościelnej zasyłamy najserdeczniejsze życzenia: ad multos annos!

Bitwa pod Racławicami
4-go kwietnia 1794 r.

Dnia 1 kwietnia wyruszył Kościuszko z Krakowa. Mała jego armia składała się z 2 tysięcy żołnierza, t. j. około 1 tysiąca piechoty, 500 jazdy i 500 kosynierów. W czasie pochodu połączyły się z nim oddziały konne Madalińskiego i Manżeta (Manget).

Dnia 4 kwietnia 1794 r. zaszła pamiętna bitwa pod Racławicami, która, choć była właściwie tylko potyczką, zażywa jednak wielkiego w dziejach naszych znaczenia. Drogie jesteście sercu polskiemu Racławice, gdyż tu po długich latach pierwszy raz włościanie polscy stanęli śmiało do boju z wrogiem ojczyzny, odnosząc świetne zwycięstwo, a że w ludzie wiejskim spoczywa nadzieja zbawienia, przeto bitwa racławicka pozostanie na zawsze pamiętną, bo tu polscy włościanie odebrali niejako krwawy chrzest na obrońców ojczyzny.

Pod Racławicami spostrzegli Polacy nadchodzących Moskali pod dowództwem jenerała Tormansowa. Wojsko nieprzyjacielskie liczyło przeszło 6000 dobrze wyćwiczonych żołnierzy i 20 armat, a polskie 12 lichych armat i 4000 ludzi, z tych połowa była uzbrojona tylko w kosy, piki i siekiery. Pierwsi Moskale uderzyli, a natarcie ich było tak silne, że polskie zastępy chwiać się zaczęły. Trzy razy uderzali Madaliński i Zajączek na czele kawaleryi, a trzy razy byli odparci. Część polskiej jazdy, złożona z samej szlachty, uciekła haniebnie. Moskale idą śmiało naprzód, ale wnet się cofnęli, gdyż strzelcy polscy, ukryci w lasku, powitali ich celnymi strzałami. Kościuszko kazał uderzyć piechocie, ale pułkownik się schował; wtedy Kościuszko sam stanął na czele kosy-

nierów i rozproszył środkową kolumnę moskiewską.

Pozostawało jeszcze prawo skrzydło nieprzyjacielskie nietknięte. Moskale śmiało idą, lekceważąc sobie polskich powstańców. Armaty moskiewskie raziły dotkliwie naszych. Kościuszko zbiera po raz drugi nieliczny zastęp dzielnych kosynierów, zasłania ich z tyłu piechotą, a potem przemówiwszy do nich serdecznie: „Dalej chłopcy, wziąć te armaty!" rzuca się śmiało do boju. Chłopi krakowscy poskoczyli pędem, trzymając w ręku kosy, które krwawo błyszczały, oblane światłem zachodzącego słońca. Tylko dwa razy zdołali Moskale dać ognia, gdyż wnet dognali ich kosynierzy, rąbiąc bez litości. Straszna rzeź się zaczęła, szczęk kos daleko się rozlegał, rzucając postrach w szeregi nieprzyjacielskie. Najdzielniej się odznaczyli wieśniacy: Bartosz Głowacki z Rzędowic i Stach Świstacki, którzy pierwsi stanęli przed armatami i własnemi czapkami zakryli zapały, tak że kanonierzy moskiewscy już nie zdołali wystrzelić. Jeden z nich położył się na swej armacie, mówiąc: „Oh! ne puszczucia swojej matuszki!" Wtem krzyknie kosynier Świstacki: „Obaczymy, czy puścisz lub nie!" i ciął silnie, a cięcie było tak potężne, że Moskal został na dwoje rozpłatany. To dzielne natarcie kosynierów, a mianowicie owych dwóch „ludowych rycerzy", zmusiło Moskali do ucieczki. Zachodzące słońce powitało Polaków jako zwycięzców. Padło 600 Rosyan trupem, 12 ich armat i jedna chorągiew dostała się w nasze ręce; Polacy mieli 190 zabitych i 200 rannych.

Kościuszko ogłosił narodowi polskiemu o zwycięstwie raport, w którym czytamy: „Narodzie podnieś ducha twojej odwagi i twego obywatelstwa!" a w końcu: „Racz poczuć narodzie twą siłę, dobądź jej całkowitej, chciej być wolnym i niepodległym; jednością i odwagą dojdziesz do tego wzniosłego celu!" Bartosz Głowacki został za waleczność mianowany chorążym, to jest porucznikiem grenadyerów krakowskich. Świstacki mianowany oficerem.

Nasze ryciny.

Wywłaszczenie

ostateczne Złotnik, Dobsk i Kołdrąbia jest już faktem dokonanym. Z tego powodu dajemy na karcie albumowej zbiorową grupę ludzi dominialnych majątku Złotnik, którzy są zmuszeni opuścić służbę i udać się na tułactwo oraz zamieszczamy w tekście ryciny: dworu w Złotnikach, pana Juliana Kościelskiego przed dworem w Złotnikach, dworu w Dobskach, państwa Zabłockich przed dworem w Dobskach, dworu w Kołdrąbiu, panów Trzcińskich, ojca i syna przed dworem w Kołdrąbiu i plebanię w Kołdrąbiu.

Jednocześnie dołączamy do dzisiejszego numeru jako drugą kartę albumową pieśń skomponowaną specyalnie dla „Pracy" przez utalentowanego kompozytora i dyrygenta opery poznańskiej p. Mieczysława Eichstaedta.

KRONIKA.

— **Za liczne i serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja," otrzymane z blizka i z daleka od Przyjaciół, Współpracowników i Czytelników, składamy staropolskie: „Bóg zapłać!"**

— **Podziękowanie i pokwitowanie.** Ks. Piotr Adamek z Poznania przy ulicy Kramarskiej nr. 2. kwitując z dalszych składek złożonych na odnowienie dolnej kaplicy Pana Jezusa w Poznaniu, składa wszystkim ofiarodawcom serdeczne Bóg zapłać i uprasza gorąco o dalsze datki.

— **Na weteranów z roku 1863-go** otrzymaliśmy 4 mrk., zebrane na imieninach pani Teofili Bayer w Lesznie.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Kasa Wzajemnej Pomocy.** Doroczne Walne zebranie tutejszej Kasy Wzajemnej Pomocy, Spółki zapisanej z nieograniczoną poręką, odbyło się w Domu Katolickim, przy dość licznym udziale członków, dnia 11-go marca r. b.

Z referatu dyrektora p. Fr. Januszewskiego wynika między innemi, że przez dziesięcioletni czas urzędowania obecnego zarządu podniosła się liczba członków z 296 na 1097, udziały z 34 tysięcy na 153 i pół tysiąca marek, suma weksli z 109 tysięcy na 788 tys. marek, zebrane procenty z 7 tysięcy na 49 tysięcy marek, depozyty z 42 tysięcy na 714 tysięcy marek. Fundusze rezerwowe z 2 tysięcy marek na 64 tysiące marek.

Majątku własnego jest 219 tysięcy marek, podczas gdy przed 10 laty było go 86 tysięcy marek.

Do dyspozycyi walnego zebrania zostało około 15 tysięcy marek, z których przekazano w tym roku do rezerw 7 tysięcy marek.

Do rady nadzorczej wybrano ponownie pp. dr. K. Jarnatowskiego, posła St. Nowickiego i Maksymiliana Kandulskiego.

„Kasa Wzajemnej Pomocy" istnieje lat 26; w zarządzie pracują pp. Fr. Januszewski jako dyrektor, Wł. Nowakowski jako skarbnik i H. Błażejewski jako kontroler. Biuro znajduje się przy Starym Rynku 45.

— **Widokówki T. L.** W Towarzystwie Ludoznawczem są do nabycia pocztówki z widokami pałaców, dworków, parków i kościołów wielkopolskich, które łaskawie ofiarował na cele Towarzystwa Ludoznawczego znany zakład fotograficzny p. Durczykiewicza z Czempinia. Również zwracamy uwagę na piękne album „Dwory w Wielkiem Księstwie Poznańskiem (dar i wykonanie zakładu p. Durczykiewicza) wystawione w jednej z witryn na drugiem piętrze Towarzystwa Ludoznawczego, a do nabycia w księgarni Niemierkiewicza.

— **W Kaliszu** odbędzie się w sobotę dnia 5-go kwietnia koncert na cel biednych dzieci, w którym weźmie też udział p. Wiesława Cichowiczówna.

— **Jubileusz prasy.** „Nowiny Raciborskie" obchodzą w tych dniach 25-letni jubileusz istnienia. Pismo to założył dr. Rostek, obecnie wydaje je „Katolik."

„Nowinom Raciborskim" życzymy i nadal pomyślnego rozwoju i dalszych wyników mozolnej pracy. — Szczęść Boże!

— **Dwudziestopięcioletni jubileusz.** Pan Adam Kompf, były współpracownik znanych firm księgarskich: Jarosława Leitgebra i W. Templowicza w Poznaniu, oraz H. Altenberga we Lwowie, przez szereg lat dyrektor Księgarni Tow. akc. „Dziennik Kujawski" w Inowrocławiu, a obecnie kierownik działu antykwarskiego Drukarni i Księgarni św. Wojciecha, obchodzić będzie we wtorek, dnia 1-go kwietnia r. b. 25 letni jubileusz w zawodzie księgarskim. Jubilatowi szczęść Boże!

— **Śrem,** dnia 22. III. 13. Towarzystwo Ogrodnicze w Śremie w dwudziestopiątą rocznicę założenia przypadającą w roku bieżącym, postanowiło urządzić Wystawę lokalną, która pod protektoratem p. **Kazimierza Chłapowskiego z Kopaszewa** odbędzie się w dniach 14. 15. i 16-ym września r. b. na sali i w ogrodzie pani Sałacińskiej w Śremie. Wystawa obejmować będzie wszelkie owoce, warzywa, kwiaty doniczkowe, bukieciarstwo, dekoracye, nasiona, drzewka, krzewy owocowe i zdobne, plany, projekty i rysunki, narzędzia ogrodnicze, pszczelnictwo, i wszelkie artykuły wchodzące w zakres ogrodnictwa.

Podpisany Komitet wystawy prosi uprzejmie pp. ogrodników jak również interesentów o przyjęcie udziału w charakterze wystawców. Zgłoszenia przyjmujemy już teraz, a najpóźniej do dnia 15-go lipca r. b., które prosimy przesłać pod adresem sekretarza Komitetu wystawy p. St. Kopczyńskiego Zbrudzewo p. Śremem (Schrimm). Pan Kopczyński udzieli bliższych informacyj listownie.

Zarząd Komitetu Wystawy Ogrodniczej.
Fr. Michalak, przewodniczący.
St. Kopczyński, sekretarz.
J. Poszwa, skarbnik.

Nekrologia.

† **Ś. p. Wanda z Rogoziów Dybizbańska,** dnia 18-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 42. — **Ś. p. Anna z Adamskich Twardowska,** dnia 18-go b. m. w Krzywiniu, przeżywszy lat 70. — **Ś. p. Anna z Namysłów Długiewicz,** dnia 18-go b. m. w Odolanowie. — **Ś. p. Stanisław Kluj,** dnia 19-go b. m. w Kobylepolu pod Poznaniem, przeżywszy lat 72. — **Ś. p. Leon Rybicki,** dnia 20-go b. m. w Wrocku, przeżywszy lat 70. — **Ś. p. Franciszek Harenda,** dnia 23-go b. m. w Szymborzu, przeżywszy lat 37. — **Ś. p. Szymon Komorowski,** dnia 24-go b. m. w Ostrowie w 82-gim roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Pani Maryi K. na prowincyi.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, wierszy jednakże nie zamieścimy, bo były już drukowane w dawniejszych rocznikach „Pracy."

— **Panu Michałowi S. w W.** — Tak powieść „Śpiewaczka ludowa" jak też „Męczennica w koronie" zupełnie wyczerpane.

— **Czytelniczce na prowincyi.** — Dziękujemy bardzo za serdeczne słowa uznania. Tą drogą kroczyć będziemy niezłomnie i nadal.

Nadesłano.

— **„Papuana,"** środek leczący reumatyzm i podagrę, objaśniony jest w dołączonym do całego dzisiejszego nakładu „Pracy" (nr. 13-ty) prospekcie, na co zwracamy uwagę czytelników.



Kambodża: mieszkania budajskich kapłanów (bonzów) w Siem-reap.

Kambodża.

Francuzom posłużyło szczęście w koloniach zamorskich. Przed 51 laty zawinęło kilka francuskich okrętów na wybrzeże anamskie, aby za jakieś uchybienie żądać zadość uczynienia od krajowców. Lecz długo musiano na nie czekać! I wtedy załoga jednego z okrętów korzystając z sposobności, obejrzała sobie nieco dokładniej wybrzeże Indyj.

Na Południu, w prowincyi kochinchinskiej, znaleźli oficerowie nad rzeką Mekong wioskę rybacką, która wydawała im się bardzo odpowiednią na założenie portu. Przywłaszczyli więc sobie bez wszystkiego kawał ziemi i zamienili wnet małą wioskę na stolicę swej nowej indochińskiej kolonii, Saigon. A gdy się przyjrzeli bliżej swoim sąsiadom, przekonali się, że wojsko anamskie stało na wschodniej granicy Kochinchiny i gotowe było do podzielenia się królestwem Kambodża z Siamczykami, rozłożonymi na granicy zachodniej. Generał francuski uznał natychmiast, że właśnie takie państwo pomiędzy nową francuską kolonią a królestwem siamskiem bardzo byłoby dla kolonij francuskich użyteczne, więc wziął Kambodżę pod swoją opiekę.

Siam i Anam musiały się na to zgodzić. Prawie bez rozlewu krwi zdobyła Francya kolonię, którą kilka lat później rozprzestrzeniono na północ, w kierunku Tonkinu, chińskiej prowincyi.

Jak bogatą była nowa posiadłość, o tem z początku nikt pewnie nie wiedział w Francyi. Kraj ten można porównać tylko z angielskiemi Indyami. W Tonkinie znajdują się niewyczerpane skarby szlachetnych metali, kruszców i węgli. Niezmiernie szeroka rzeka Mekong stanowi otwartą drogę aż do środkowych Chin.

Górzysty kraj anamski jest prawie jeszcze niezbadany. Południowa część kolonii, nieskończenie żyzna, daje chleb całemu krajowi, zbiór zaś ryżu odbywa się tam kilka razy do roku.

Kambodża okazała się także pod innym względem wartościową, to też kraj ten stanie się wkrótce celem podróżujących i badaczów kultury. Kambodża odziedziczyła przecież starą, wspaniałą kulturę Chemerów i posiada przepyszne gmachy, których czar niezwykły silne na każdym Europejczyku wywiera wrażenie.

Pewien badacz kultury, Francuz Mouhot, wybrał się w r. 1862 w towarzystwie jednego z misyonarzy tam dotąd, aby nową posiadłość Francyi zbadać co do fauny i flory. Zupełnie niespodziewanie znaleźli obydwaj ci panowie w głębi lasu dziewiczego jakąś świątynię tak cudnie zbudowaną, że Mouhot zachwycony postanowił poświęcić się na zbadanie pozostałych ruin. Od niego też mamy pierwsze wiadomości o tamtejszych budowlach, które ukryte w dżunglach i otoczone potęgą podzwrotnikowej roślinności, chyliły się, nieznane światu, ku upadkowi. Ale ziemia, na której się znajdowały, należała jeszcze do Siamu i dopiero przed pięciu laty zamieniono ją na inny kawał ziemi należący do Kambodży a tem samem do Francyi. Tym sposobem stało się państwo europejskie właścicielem sławnych min Anchor-Wat i Anchor-Tom, uchronionych od zniszczenia.

Mouhot umarł już po czterech latach na febrę. Dziełem jego zajął się inny uczony, Niemiec Bastian, lecz jego ocenienie ruin zupełnie było fałszywe. Bastian nie umiał dać sobie rady z tym nieznanym ludem Chemerów. W ostatnim czasie odczytano tj. odcyfrowano setki napisów na ścianach świątyni i na jej filarach i dopiero poznano historyę tego państwa, które niegdyś panowało nad całym Zachodem i Południem Indyj Zachodnich. Było to państwo, do którego cesarz tatarski Kublas-Chan wysyłał posłów i z którem Chiny bardzo przyjacielskie utrzymywały stosunki.

Wprowadzono tu dotąd kulturę bramińsko-indyjską, a napisy z najdawniejszych czasów są ułożone w bardzo pięknym sanskrycie. Później używano alfabetu indyjskiego do pisania w języku Chmerów, będącym mieszaniną licznych dyalektów Indyj Zachodnich i sanskrytu. W końcu pisano w języku Pali, to jest w języku, w jakim spisano święte przepisy Buddystów, wtenczas, gdy



Kambodża: Ruiny w Anchor-Watt; wieże narożne i wieża środkowa na wyższej galeryi świątyni.



Kambodża: budajscy kapłani przed świątynią.



Kambodża: widok wnętrza ruin w Anchor-Wat.

buddaizm zapanował w świątyniach bramińskich.

Siamczycy, szczep ludów mongolskich, którzy o wiele później niż Chmerowie zaludnili góry południowych Chin, byli niewolnikami Chmerów, lecz później zbuntowali się przeciwko swym ciemiężycielom i zwyciężyli ich w 13 stuleciu. Przeszło 200 lat trwały krwawe wojny, które utrwaliły państwo syamskie, Kambodżę zaś z wyjątkiem kilku prowincyj zniszczyły zupełnie. Ale kulturę otrzymał Siam od Chemerów, a sprzymierzeńcem jego był buddaizm, jako religia wszystkich uciśnionych, która wyrugowana z Indyj Wschodnich, zwyciężyła w Indyach Zachodnich bramińskich bogów Chemerów. Dziś panuje buddaizm w całych Indyach Zachodnich w miejsce religii Indrasa i Sivasa.

Państwo anamskie stało także pod wpływem kultury Chemerów, to też kraj ten pełen jest ruin w stylu Chemerów, nie dostępnych jeszcze dla każdego.

Zwycięzcy musieli ogromnie kraj wyniszczyć; ruiny wspaniałej stolicy Chemerów, Anchor-Tom, zbudowanej w r. 811 po Chrystusie, są najlepszym tego dowodem. I kraj cały popadł w sen i lasy dziewicze pokryły go. Ale lud zachował prastary język i posługuje się zawsze jeszcze indyjskiemi literami. Zwyczaje i obyczaje ich pochodzą także z najdawniejszych czasów. Ludność tak jest podobną do siamskiej, że Europejczyk z trudnością może jednych od drugich odróżnić, wielkie czarne oczy przypominają ich pochodzenie aryjskie.

Stanowisko kobiety jest w Kambodży o wiele lepsze niż w Indyach, jest ono takie, o jakiem czytamy w literaturze indyjskiej z tych czasów, kiedy Mahometanie jeszcze nie narzucili ludom wschodnim swych zwyczai haremowych. U zwyczajnych ludzi panuje przeważnie jednożeństwo i narzeczony musi tutaj wysłużyć sobie narzeczoną tak samo jak w Palestynie. Kobiecie przysługuje także prawo żądania rozwodu, może ona wyjść drugi raz za mąż i żadnym pod tym względem nie podlega przesądom.

Od r. 1866 jest Pnompenh rezydencyą króla, który do starych gmachów dodał wspaniałe nowe w stylu Chmerów. Znakomite spławy rzeki Mekong i ogromnego jeziora Tonle zastępują komunikacyę kolei żelaznej zupełnie.

Francuskie parowce załatwiają komunikacyę pomiędzy Saigo a Pnompenh, bardzo przyjemnem miejscem dla Europejczyków, mieszkających tu w willach, dosłownie kwiatami pokrytych. Nie ma tu wprawdzie jeszcze teatru, ale kino jest już od dawna. Zresztą muszą się nowi właściciele państwa pocieszać baletem królewskim, na który przy nadzwyczajnych uroczystościach wolno też przychodzić szerszej publiczności. Znawcy twierdzą, że baletniczki, a jest ich 300, poruszają się z wdziękiem prawdziwie klasycznym.

Zwiedzenie ruin w Anchor-Wat i Anchor-Tom wcale nie jest łatwe. Z Saigon aż do Pnompenh, ztamtąd zaś przez szerokie jezioro Tonle — to podróż trwająca kilka dni i nocy! I bardzo w dodatku nieprzyjemna. W nocy trzeba się z parowca przesiadać na łódki, na jeziorze Tonle — nad ranem wysiada się znów na ląd i jedzie godzinami na



Kambodża: świątynia w obrębie królewskiego pałacu w Pnom-pench, stolicy kraju.



Kambodża: Kolumnowy korytarz ruin w Anchor-Wat.

wózku, zaprzężonym w woły, po bagnistej płaszczyźnie na los szczęścia! W końcu kilkogodzinna jeszcze jazda lasem aż do miasteczka Siem-reap, pełnego uroku i czaru prawdziwie wschodniego! Potem znów w szalonym upale odbywać trzeba podróż przez ciche i poważne lasy odwieczne, aż nagle, po kilku godzinach witają zmęczonego podróżnego wieże Anchor-Wat!

Jest to widok wprost zachwycający! Most marmurowy, zawieszony 40 łukami nad rowem suchym, lecz mającym szerokość jeziora, wiedzie do monumentalnej bramy, na której stopniach siedzą kapłani w żółtych szatach. Dwie mniejsze bramy przeznaczone są dla wozów i konnych, wszystkie trzy zaś ozdobione szczytowemi wieżami, bez ostrych końców, lecz wspaniale rzeźbionemi, tworzą punkt środkowy galeryi, mającej 250 metrów długości. Galerya ta spoczywa na filarach, przedstawiających mur otaczający Anchor-Wat. Olbrzymi kamienny obraz żmii o siedmiu głowach, strzeże bramy, po za którą znajduje się ulica, wyłożona marmurowemi płytami i wiodąca do świątyni, odległej o 400 metrów.

Dziewięć wież wznosiło się niegdyś nad pagodą Anchor-Wat, pięć z nich istnieje dotąd jeszcze. Przyszedłszy bliżej można się dopiero przekonać, że mury długiego gmachu rozsuwają się, aby utworzyć trzy coraz to piękniejsze piętra, pomiędzy któremi znajdują się obszerne dziedzińce wraz z pobocznemi budynkami i halami, ozdobionemi przepysznemi rzeźbami. Plan budynku tworzy w środku, gdzie jest na trzeciem piętrze cela boga, wyraźny krzyż, którego cztery daleko wystające skrzydła połączone są galeryami.

W wszystkich budynkach Chmerów odgrywają pomnikowe schody bardzo ważną rolę. Wznoszą się one na zewnątrz przy ścianach w odstępach i są bogato zdobione kamiennemi zwierzętami. Im wyżej tem stopnie stawają się wyższe i węższe — jest to sztuczka pod względem perspektywy, bo schody wydawają się wyższemi, niż rzeczywiście są. Poręczy nie ma tam wcale, a stopnie są tak wązkie, że nogi europejskie mogą tylko bokiem na nie wchodzić! Kto doszedł aż do góry, tego chyba uważano za wybrańca Bramy albo Buddy.

Cudzoziemcy interesują się więcej wspaniałym i rozległym widokiem na okolicę i na niżej położone dziedzińce i hale świątyni. Na ścianie najniższej galeryi znajdują się sławne płaskorzeźby, których odlewy posiadają rozmaite muzea europejskie. W wysokości dwóch metrów pokrywają one przestrzeń 1000 metrów długą. Rysunek ich i wykonanie są mistrzowskie i o wiele wznioślejsze, niż wszystko, co się w tym rodzaju widzi w Indyach.

Przedmioty tych płaskorzeźb są wzięte z literatury indyjskiej. Wszystkie filary i kolumny budynków są pokryte podziwu godnemi rzeźbami, przedstawiającemi bożków, ludzi i zwierzęta. Królowe i tancerki ukazują się w tysiącznych, a zawsze nowych pozycyach. Na rozmaitych rzeźbach znajdują się jeszcze ślady farb; fantazya ma tu obszerne pole do wskrzeszenia całego przepychu i bogactwa, jakie niegdyś ożywiały te ściany.

Na łące, po lewej stronie pagody, żyją w nędznych chatach kapłani. Albowiem Budda zastąpił wszędzie Indrę, któremu świątynia poświęcona była, i dziś jeszcze odbywa lud pielgrzymki do Anchor-Wat jako do miejsca świętego.

O godzinę drogi dalej znajdują się w lesie odwiecznym mury wspaniałego pałacu królewskiego w Anchor-Tom, lecz ruiny te są niestety, w stanie opłakanym. W końcu podziwiamy jeszcze Baion — najokazalszy i najoryginalniejszy pewnie budynek na całym świecie.

Baion był także świątynią, poświęconą wyłącznie bramińskim kapłanom, którzy tak byli potężni, że im królowie nawet bili pokłony. Mieszkając w świątyni, otoczeni byli tajemnicą, i umiejąc przepowiadać przyszłość panowali nietylko nad całym ludem, ale nawet i nad królem. Jak Anchor-Wat tak i Baion wznosi się w kształcie piramidy o trzech piętrach. Pięćdziesiąt wież, które na wszystkich czterech stronach mają kolosalne twarze boga, wywierają nadzwyczaj silne wrażenie na Europejczykach. Większa część jednak leży już w gruzach, stoi ich przecież jeszcze dosyć, aby działały, jak cuda! Baion otoczony jest murami z białego marmuru, schody zaś, wiodące na górę z wszystkich stron, strzeżone są przepysznemi kamiennemi fantazyjnemi lwami. Symbol staroindyjski siedmiogłowej żmii, ukazuje się wszędzie, podobny do olbrzymiego białego liścia.

Zdaje się, że zamierzchły przepych strzeżony tu jest przez duchy czasów przedhistorycznych!



Kambodża; wieś na palach w Pnom-penh, stolicy kraju.



Posłuchajta ludzie z miasta...

Posłuchajta ludzie z miasta...
Znów się rodzi chłop od Piasta,
Chłop, gospodarz — chłop,
Co to w dobrym, czy złym losie
Zbierał w naród kłos po kłosie,
Aż przewiązał w snop!

Znów się rodzi na zagrodzie
Pacierzowa kość w narodzie,
Kość narodu! trzon!
Znowu od wsi polskiej świta
Moc i siła niespożyta
Na przyszłości plon.

Znów rozbrzasło, zajaśniało,
Znów się słowo ciałem stało
Na proroczy cud.
I u ziemi, u ostoi,
W swej siermiężnej stanął zbroi
Oświecony lud.

Już u pługa, u oracza
Nowa zorza krąg zatacza
Kiej barwista kwieć.
Już z pod wiejskich strzech wyrasta,
Jak za Lecha, jak za Piasta,
Kmieć, gospodarz-kmieć!

Już, jak ptactwo na wyraju,
Lud wziął skrzydła w całym kraju,
Wziął swój prawy lot
I po czarnej ojców roli
Na użątek lepszej doli
Sieje znój i pot!

I już niema różnic mianem,
Nikt tu sługą, nikt tu panem,
Niema różnych dróg.
Jedne wszystkim wspólne ścieżki
Swoje, rodne bez przymieszki —
Jeden cel i Bóg!

El.

I.

Drugim radź: pracować na siebie,
Wieść żywot ruchliwy i czynny,
Staraj się jednak usilnie,
By na cię pracował... ktoś inny!

II.

Kop dołki pod drugimi
Krzycz na nich: „hałastra!“
Czyniąc innych niższymi,
Sam wzrośniesz... ad astra!

III.

Był czas, że noga wspierała nogę,
Dziś za to chodzą jak w pętach.
Ludzie kupują płyn „na odciski“
I... depczą sobie po piętach!

El.



Z dziedziny hygieny.

Przedwczesny uwiąd twarzy.

Nie zawsze cera nasza jest odbiciem wieku, który dźwigamy na sobie. Jeżeli trudno bywa określić u mężczyzn wiek na zasadzie wyglądu zewnętrznego, to płeć piękna pod tym względem nie daje nam prawie żadnego punktu oparcia. Gdy pewna część kobiet przedstawia nam obraz przedwczesnej starości, inne natomiast przez długie lata umieją zachować swój urok młodości.

Czemu właściwie należy przypisać taką niesprawiedliwość i pozorną niekonsekwentność natury, która jednym nielitościwie każe więdnąć w wiośnie życia, gdy drugich natomiast darzy hojnie swemi względami aż do późnej jesieni ich żywota? Czy winną bywa w tych razach natura, czy też przyczyn należy szukać w nas samych?

Aby odpowiedzieć na te pytania, zwróćmy się przedewszystkiem do rozpatrzenia tych czynników, które zazwyczaj powodują zmiany w naszym wyglądzie zewnętrznym.

Przedwczesny uwiąd twarzy zależnym jest od tych dwóch kategoryj przyczyn. W pierwszym rzędzie należy postawić tu cały szereg ujemnych warunków hygienicznych: wilgotny klimat, częste pozostawanie na powietrzu, pod promieniami słońca lub pod wpływem wiatrów i deszczów, nadużycie sportu w rodzaju jazdy na rowerze, automobilu, polowaniach i t. p. Tutaj zaliczamy również używanie różnych szkodliwych kosmetyków, nadających na razie pożądany skutek, lecz pozostawiających ujemne dla cery i zdrowia następstwa.

Do drugiej kategoryi czynników ujemnych należy zaliczyć cały szereg zmian fizyologicznych w naszym ustroju, a mianowicie różne stany chorobowe, a u kobiet głównie przedwczesny okres przekwitania płciowego.

Następstwa pierwszej kategoryi łatwo możemy usunąć, o ile utworzymy nowe warunki hygieniczne lub zastosujemy szereg środków kosmetyki dermatologicznej. Następstwa zaś drugiej kategoryi mogą być usunięte, tylko po doprowadzeniu naszego organizmu do normalnego stanu.

Jak więc należy walczyć w każdym wypadku przeciw objawom przedwczesnej starości? Otóż garść wskazówek, któremi stale posługiwać się radzimy naszym Czytelniczkom. Zanim przyprzystępuje się do szeregu odnośnych zabiegów kosmetycznych, bezwarunkowo należy dać zbadać swój organizm pod względem zdrowia, niezależnie od tego, czy osoba interesowana czuje się zdrową lub chorą, albowiem niektóre choroby przebiegają w naszym organizmie tak ukrycie, że tylko wprawne oko lekarza dojrzeć je zdoła. I tylko po tym wstępnym kroku można przystąpić do szeregu zabiegów kosmetyki estetycznej. Te zaś, które, pomimo naszej rady wolą rozpocząć zabiegi w kierunku odwrotnym, uprzedzamy, że, jeżeli po długich usiłowaniach cera twarzy jednak nie wraca do normy, skóra nie nabiera normalnej barwy i elastyczności, oczy zagłębione są w dalszym ciągu, a zmarszczki nie znikają, — szukać należy zawsze przyczyn w organiźmie.

Czytelniczki, pomyślcie więc o waszem sercu, nerkach, narządach trawienia, organach płciowych i t. d., których nieprawidłowe funkcyonowanie stale zdradziecko rujnuje wasz organizm, znacząc na nim piętno przedwczesnego uwiądu.



Ballada o cyganie.

Cygan raz przyszedł na króla dwór,
Cygan, co grał na gęśli,
Cygan, któremu ojcem był bór,
A matką cicha dolina gór.

I zagrał. Zdumiał dwór cały w krąg,
Cygan, co grał na gęśli,
Że aż mu gęśle wydarto z rąk:
Czyli są z drzewa, czy z kwiatów łąk?...

I został w króla pałacu tam
Cygan, co grał na gęśli,
„Bierz złoto, ile w skarbcu go mam —
Rzekł król, — a tylko graj ciągle nam!..“

I grał — i długi spędzał tam czas,
Cygan, co grał na gęśli,
Daleko jego rodny był las,
A płomień ducha w nim gasł i gasł...

Tęsknił, lecz złotem otoczon był,
Cygan, co grał na gęśli,
I biały biust tam niejeden lśnił
Kuty z wrzącego marmuru brył...

Aż raz tęsknocie uległszy swej,
Cygan, co grał na gęśli,
Opuścił króla, dwór i swych kniej
Biegł szukać rodnych swych lasów; hej!

Lecz przebóg! Cóż to! tam, kędy znał
Cygan, co grał na gęśli,
Przepastne bory: był zrębów zwał,
Wyciętą pustką wiatr tylko gnał.

I stanął z sercem skrzepniętem w lód,
Cygan, co grał na gęśli,
Jest tam nurt cichych, głębokich wód,
Oko nie dojrzy, kto runie w spód...

Kazimierz Przerwa Tetmajer.



Do Gniazda.

....Jarochowski wraz z synem wysiedli na małej stacyjce kolejowej. Lata upłynęły, ciężkie lata zawodów i goryczy od czasu, kiedy ostatni raz jako młody chłopiec opuszczał te okolice. Kolei jeszcze nie było wówczas w Kaźmierzu, a osada ta, chociaż główna majętność po Mlickich, od dawna już była w posiadaniu jakiegoś księcia niemieckiego, który ją świeżo przekazał kolonizacyi, miała jeszcze wielu polskich gospodarzy, którzy, niby gniazda jaskółcze przylegli swemi gospodarstwami aż do murów świątyni.

Pierwsze spojrzenie jego, gdy wyszedł na peron, padło na kościół i wskazał go synowi: — „Patrz, tam leżą prochy twoich przodków — tam ślub brał dziadek twój, tam mnie ochrzcono.“ Chłopak wytężył wzrok ku górze, na której wznosiła się stara, pamiętająca setki lat świątynia.

W milczeniu poszli niedaleką drogą i weszli w ogrodzenie kościoła, przypatrując się nagrobkom i kapliczkom cmentarnym. Nie znaleźli już poczciwego „Smyka“, organisty, ani starego Pioruna, dziada szpitalnego, w nagłej potrzebie kalkanisty, któremu kozak Płatowa, podczas odwrotu z pod Berezyny, szablą rozciął głowę. Na gołej, jak kula bilardowa czaszce starca, czerwieniła się jeszcze blizna — pamiętał dobrze, ile razy pytał o jej znaczenie, odbierał odpowiedź: „Kozak Płatowa mnie płatnął.“ — A jakaż to była uciecha, gdy Piorun zakropił sobie i wziąwszy kij do ręki — ku niemałemu zgorszeniu bab szpitalnych, zaczął nim robić obroty wojskowe, maszerując, prezentując niby karabinem, przekładając go z ramienia na ramię, a w końcu krzycząc: „Vive l'empereur!“ Gdy wytrzeźwiał, płakał, łbem bił, podczas mszy św., o podłogę kościelną i na cały głos wołał: „Boże przebacz mi pijaństwo.“ Kości ich próchniały na cmentarzu przyległym; od nowego organisty dostali klucz, otworzyli grobowiec Jarochowskich i weszli doń. Wszystko się na świecie zmieniło, ale w grobowcu zostało wszystko po dawnemu. Na trumnie pradziadka leżały wieńce z nieśmiertelników, zbutwiałe, ale jeszcze rozpoznać je było można. Jarochowski zapalił lampkę elektryczną, gdyż okienko grobowca bzami i bluszczem zarosłe, mało przepuszczało światła. Zdjął wieko z trumny, w której spoczywała babka. Jasny promień światła elektrycznego rzucił się na twarz zmarłej, zdawała się we śnie pogrążona, tak dobrze jeszcze śmiertelne szczątki się zachowały.

Czarna, jedwabna suknia pokrywała zwłoki, ręce złożone na piersi, dzierżyły obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na blasze, z którym nigdy nie rozłączała się za życia i który kazała sobie włożyć do trumny. Jarochowski ukląkł przy trumnie i zatopił się w gorącej modlitwie, chłopiec przytulił się do ojca. — „To prababka twoja — szepnął synowi — święta kobieta, prawdziwie biblijna mężyna, ile łez otarła, ilu ludziom pomogła, nie zliczysz... na polach Miłosławia i Wrześni była opiekuńczym aniołem rannych i umierających. A to twój pradziadek — rzekł — podnosząc wieko przyległej trumny, w której, w czarnej sukmanie, z której zaledwie już strzępy pozostały, leżał szkielet mężczyzny. — To bohater z pod Ostrołęki, widzisz ten krzyżyk, to order „virtuti militari“, sam jenerał Kicki, śmiertelnie już ranny, przypiął mu do piersi. Chłopiec drżał cały i usta przytulił do kości pradziada.

Wyszli i drogą prostą wysadzaną wierzbami podążyli do Małych Sokolnik. Dzień był ciepły, pogodny, żyto po obu stronach drogi, poruszane lekkim wietrzykiem, kłaniało się im do nóg. Jarochowski tak był wzruszony, że nie mógł ani słowa przemówić do syna, który blady, trzęsący się, podążał za nim.

Przeszli pola Kaźmierza i Kopaniny i weszli na grunta sokolnickie. — To gniazdo przodków twych, na którym przeszło lat dwieście siedzieli i nieszczędzili mienia ani krwi dla Ojczyzny — dziś to Niemcy zabrali! Niezadługo zbliżyli się do wsi. Figura Męki Pańskiej, do której na modlitwy wieczorne chodzili wieśniacy wraz z dworem, stała na straży wsi, była nienaruszona. Uklękli pod nią i po serdecznej modlitwie ruszyli dalej. Weszli do ogrodu, Jarochowski oglądał się ze zdumieniem. Nie poznał go. Długa, świerkami wysadzana aleja, prowadząca do dworu, zakończona po obu stronach kępami starych akacyj, znikła zupełnie. Wycięto świerki, wyrudowano drzewa owocowe, zniesiono klomby, okalające dawniej tę piękną siedzibę, a miejsce ich zajęły zagony kartofli, marchwi i brukwi. Tam, gdzie był przepyszny klomb kwiatowy, przed wejściem do samego dworu, na którym kwitły drobne białe różyczki, liliowe irysy, ciemne bratki, pyszne centyfolie i ciemnopurpurowe astry, leżała świeżo wyrzucona mierzwa, okna we dworze zabito deskami, a w pokojach frontowych praktyczny kolonista urządził świniarnię. Jarochowski już nie poznał dworu, w pokojach dziadka i babki rozwalały się warchlaki, w saloniku, w którym wisiały piękne kopie Corregia „Świętej rodziny“, Rembrandta „Straży nocnej“ pędzla Miszewskiego i wspaniałe oryginały Sarneckiego „Widoki włoskie“, gdakały kury, w jadalni, która świadkiem była narad i zebrań poufnych w latach 1848 i 1863, pająki porozwieszały swe sieci i piętrzyły się całe góry kartofli, buraków, po których goniły się szczury, w kącie stały kłody z kapustą, wydzielające woń nieznośną. Ta jadalnia! czyściutko zawsze utrzymywana, była oczkiem u babki. Wielki stół dębowy przerzynał ją całą, otoczony szeregiem wysokich krzeseł. W jednym rogu stał fotel, włóczkową tkaniną pokryty, praca babki, na którym siedząc, ostrym i dobitnym głosem czytała rodzinie i domownikom ustępy z „Dziennika Poznańskiego“ o pamiętnych wypadkach roku 1862—1863.

Stanęły mu w pamięci imieniny babki na świętą Konstancyę, na które zjeżdżała cała okolica. Przed oczyma jego stanęli uczestnicy skromnej biesiady. Staruszek milutki, zapalny, gdy mówiono „de publicis“ Żychliński z Pierska, oficer z roku 1830/31, obrońca jenerała Krukowieckiego, na którego samo nazwisko, sąsiadka jego przy stole, pani jenerałowa Węgierska, dostawała spazmów i z którym o „zdradę“ tegoż jenerała wieczną toczyła wojnę. Poważny a tak serdeczny Bogusław Łubieński z Kiączyna, jowialny Mierzyński z Lipnicy, z wyszukaną elegancyą zawsze ubrany i markujący ostro każdy wyraz pułkownik Skarżyński z Wielkich Sokolnik i żona jego, primo voto, wdowa po ministrze Rembielińskim, wielka pani w każdym calu, do której na powitanie z głębokim ukłonem dzieci przystępować musiały i wtedy dopiero gdy dłoń wyciągnęła, wolno było koniuszki ucałować jej palców. Ubrana w jasnoheliotropową, jedwabną suknię, spiętą szerokim paskiem z agrafą, w wysokiej fryzurze, na której królował złoty dyadem wysadzany ametystami, lekko uróżowana, z muszkami na twarzy, jakby zeszła z portretu Bacciarelliego. A z jaką gracyą dobywała małej, złotej tabakierki, na której widniała emaliowana podobizna Stanisława Augusta w brylantach i ukradkiem wonną zażywając tabaczkę, podawała innym paniom, z lubością omawiając les affairés secrétes et amoureuses*) tegoż monarchy. Kaźmierz Jarochowski, znakomity historyk czasów saskich, przybywający zawsze na matki imieniny, a zdumiewający zebranych szaloną pamięcią nietylko dat i wydarzeń historycznych, ale najróżnorodniejszych wypadków z życia i dziejów rodziny, sąsiadów i domowników — prawdziwa encyklopedya pamięci, o dowcipie

*) Po polsku znaczy: przygody sekretne i miłosne.

i humorze niezrównanym i tylu innych, których mgła niepamięci w umyśle dziecka zakryła.

Jaka serdeczność szczera, niewymuszona panowała przy tym stole; toczyły się dyskusye żywe, czasami namiętne nawet a jednak wszyscy zebrani zdawali się być jedną rodziną. Święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia spędzano również przy tym stole, na które gromadziła się cała rodzina. Te święta, chociaż by żył lat sto, nigdy nie wyjdą mu z pamięci. Ukazanie się pierwszej gwiazdy było hasłem siadania do wigilijnej wieczerzy. Z czcią prawdziwą całowano ręce babki i dziadka, błogosławiących dzieci i wnuków, dzieląc się opłatkiem. Wichura szalała po polach, śnieg uderzał o szyby okien, a we dworze panował nastrój patryarchalny, bo wszystkich łączyła miłość. — W święta Wielkanocne, po święconce przy dźwiękach piszczałek wkraczała banda „cyganów" prowadząc niedźwiedzia, ucieszne wyrabiającego figle, a ten dyngus jak inny był od dzisiajszego, lano wodą kubłami, węborkami, karafkami, aż do zupełnego przemoczenia. Pamięta, jak i na nim nie pozostawiono suchej nitki — przeziębił się i tradycyonalny ten zwyczaj kilkudniowem odpokutował leżeniem w łóżku. W tym wielkim „sztukowanym" pokoju, w którym ściany obwieszone były portretami w naturalnych wielkościach rodziny Jarochowskich, do którego po ciemku nie byłby się nigdy wejść ośmielił, gdyż portrety te ścigały go oczyma, urządzili gospodarze skład starych rupieci gospodarczych.

— Dlaczegoście tak zmarnowali siedzibę przodków moich? — rzucił Jarochowski z wyrzutem koloniście, który z dobrodusznym uśmiechem przyglądał się przybyszom. Kolonista odparł — dwór dla nas był za wielki, my nie panowie. W tylnych dwóch pokojach dość mamy pomieszczenia dla nas, dzieci i starych rodziców, przednie więc obróciliśmy na chlewy, kurniki i lamus. U nas się nie przelewa, ciężkie mamy warunki a pieniędzy nie wiele, trzeba wszystko wykorzystać.

Jarochowski westchnął — cóż miał tłómaczyć koloniście przybyłemu gdzieś z Wirtembergii, jaką okropną uczynił pustkę z jego rodzinnej sadyby. On te komnaty uważał za relikwię i zawsze do nich myślą powracał i zawsze wystawiał je sobie takiemi, jakiemi je opuścił w młodzieńczych latach. Gdy chodził po tych ruderach napełnionych duchami przeszłości, gdy oglądał jej szczątki znieprawione, dusza mu się rwała ku starym czasom i obyczajom, lubo czuł dobrze, iż tamte czasy już się nie wrócą...

Nie przyjął zaproszenia kolonisty i jego żony na posiłek i wraz z synem poszli na wieś. Nie poznał jej wcale. Sokolniki pokrajano na kawały i co staj kilka widniał czerwony domek, jaki kolonizacya pruska buduje dla swych osadników. Piękne, zwarte podwórze zachowało się prawie w całości, ale należało do sześciu właścicieli, z fajkami w ustach krążących po niem. Ostały się za stodołami wspaniałe topole, zachwycał się niemi w dzieciństwie i teraz zwrócił ku nim wzrok smutny. Zaszumiały poruszone lekkim wiatrem tak rzewnie, iż łzą mu nabrały oczy. Jeszcze krok a znalazł się nad stawkiem, w którym dzieckiem będąc, używał kąpieli, porówno z rówieśnikami wiejskimi — obrócił się, szukając figury św. Jana, okolonej wieńcem dębów rozłożystych. Ani drzew, ani figury już nie było, dęby wycięto a figurę gdzieś w kąt zawleczono.

Wolnym krokiem w milczeniu ruszyli w drogę powrotną. Pola nurzały się w tej ciepłej, wilgotnej ciszy, która się padaniem rosy nazywa, drzewa stały milczące, jakby srebrną pajęczyną osnute, z dalekich stron szły stłumione szmery zasypiającego życia. Przybyli do Kaźmierza, słońce zachodziło, pociąg już stał na stacyi. Stanęli na platformie i gdy pociąg poruszać się zaczął, raz jeszcze spojrzeli ku rodzinnym stronom, których już nigdy może oglądać nie mieli. Nagle chłopiec uchwycił się mocno poręczy platformy, źrenice wyszły mu z orbit i wskazując na szarzejącą w oddali kępę drzew, jak krwią zalanych zachodzącem słońcem, zakrzyknął:

— Ojcze tam, tam Sokolniki. Widzę je teraz dokładnie, patrz jak się wznoszą... tam w chmurach. Wzrok mnie nie myli, ta świerkowa aleja wiedzie do dworu... tam dwór... klomb przed domem. Na wystawce przed dworem siedzi pradziadek... prababka, jak oni serdecznie wyciągają ku mnie ręce... Ojcze, co się ze mną dzieje...

Gdyby Jarochowski nie był syna ujął w swe ramiona, byłby się zesunął z platformy, gdyż stracił przytomność i padł na ręce jego omdlały. Długo, długo trwało, aż chłopiec odzyskał zmysły, pociąg zbliżał się już ku Poznaniowi i ciemność rozpostarła się po świecie. Jarochowski tulił syna do siebie, tłumiąc łzy a chłopiec łkał boleśnie. — Widzisz moje dziecko — rzekł, całując syna — to duchy pradziadów twych pokazały ci w ostatniej chwili, jak wyglądała nasza rodzinna siedziba, gdy oni tam żyli i działali.

Stanisław Wegner.

Dwaj opatrzyli jałmużną nędzarza;
Jeden mu grosz dał, a drugi dukata.
Dukat pochodził z milionów wekslarza,
Grosz miał jednego tylko w worku brata.
Na szali zasług czyj datek przeważa?

Wiktor Gomulicki.



Prośba tułacza.

Nim moje oczy na wieki zagasną,
O daj mi, Boże, zobaczyć raz jeszcze
Pola i bory, Wisły wstęgę jasną,
Niech je ostatniem spojrzeniem popieszczę.

Ubogie chaty z gniazd jaskółczych wiankiem,
Z ogródkiem pełnym malw krasnych i mięty,
Dziewczę po wodę idące ze dzbankiem,
I skrawek nieba słońcem uśmiechnięty.

Nim moje serce tęsknota spopieli,
Nim obłąkają mię ducha rozpacze,
Tę moją ziemię w słonecznej kąpieli
Niechaj przed zgonem raz jeszcze zobaczę.

Józefa Zielińska.



Jak się Wojtek dostał do nieba.

(Humoreska).

Był ci przed laty Wojtek, gospodarz, który razu jednego nie mając chwilowo nic lepszego do czynienia, wziął se i umarł. Dusza Wojtka, jak tylko się otrząsła ze znikomej ziemskiej powłoki cielesnej, tak też zaraz zabrała się w drogę do nieba. Po drodze musiał Wojtek przechodzić wedle piekła; jak tylko o tem dowiedział się łapczywy na dusze ludzkie Lucyper, tak w okamgnieniu przemienił służbowego dyabła w żydka-karczmarza. Kroczy tedy Wojtek zamaszyście ku Niebiosom, aż tu go zatrzymuje za połę sukmany żydek, wołając:

— Pieknie witam, panie Wojczechu!

Wojtek, miarkując, że to jakaś zasadzka, szarpnął się i ofuknął: Daj mi święty spokój żydzie, bo jak cię zamaluję, to ci świeczki staną w ślepiach.

A żydek:

— Ny, co to z was dżysz za wielki jegomoszcz, co za wielki pan, Wojczechu, aj waj, haste gewidżoł... czyszcze ta jaki dżedżycz, czy może jaki książę, żeby nie pomówicz z poczciwym żydkiem, że ja może nie katołyk — ny, ale to katołyki na mnie pracują, a to przecież kamractwo... a u mnie takie rarytne wódka i na przegryskę świeży krupniok szwyczy się jak lakierowany...

Na wspomnienie wódki okrutniście Wojtkiem zakręciło, nos mu się wykrzywił w stronę piekła i srodze go połechtało na wnętrzu.

Jedyne szczęście, że jakiś dyabeł trzymając złapaną duszę sprzedawczyka jako kot mysz w zębach, otworzył właśnie w tej chwili bramę piekielną i cały podstęp Jego Dyabelskiej Mości Lucypera się wydał, bo Wojtka zaleciał zapach warzonej smoły i skwar piekielny i słyszał jęki męczonych dusz, co za życia zamiast czynić dobrze, męczyły ludzi, swych bliźnich.

— Niedoczekanie twoje, szatanie zawołał tylko, i co sił starczyło zmykał od czartowskiej pokusy, aż się za nim kurzyło.

W krótkim czasie stanął przed bramą niebieską i nieśmiało zastukał do niej trzy razy; w tej chwili zabrzęczały klucze, zawarczały wrzeciądze — a u wrót niebieskich na progu Nieba stanął klucznik niebieski, święty Piotr.

Wojtek zdjął pokornie czapkę z głowy, pozdrowił św. Piotra jak przynależy i rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — Apostoł odpowiada, a Wojtek, jak to był chłop zuch, śmiały i wszędzie musiał być pierwszy, tak też chciał w tej chwili przekroczyć próg, żeby dostać się do Nieba.

— Ocho, bratku, tylko zwolna, zwolna... — rzeknie Apostoł — bo tu nie żadna gospoda, powiedz mi jeno naprzód, co tu masz za sprawę?

— Jestem duszą Wojtka.

— A cóżeś to takiego, miły Wojtku, uczynił dobrego tam na tej waszej ziemi, że się tak gwałtem ciśniesz do Nieba, hm?

— O św. Piotrze, toć wiecie sami, że chodziłem na Msze św., że pościłem, dawałem ubogim jałmużnę, że w pocie czoła orałem zagon ojczysty, i że byłem dobrym Polakiem, nie tylko nie gardziłem, ale chlubiłem się ojczystą mową.

— O, mój kochany, a toć tylko wypełniałeś to, co ci Pan przykazał... wypełniałeś tylko swe obowiązki, a to jeszcze nie uprawnia do Nieba.

I zaczął się Wojtek z św. Piotrm targować, ale klucznik niebieski był tym razem twardy jak kamień i nie dał się zmiękczyć; był ci też bardzo strudzony i już, już chwytał za bramę, żeby ją zawrzeć Wojtkowi przed nosem.

Wtedy to Wojtek w największem utrapieniu i z ciężkiem westchnieniem zdobył się na te słowa:

— O kluczniku niebieski, czy to nie wiecie o tem święty Ojcze Apostole, a przecież ja byłem ożeniony i to — tu Wojtek westchnął głęboko — aż 30 lat powtórzył z jękiem.

Po tych słowach stało się coś niespodziewanego; św. Piotr zawiesił klucze na guziku swej szaty i obie ręce wyciągnął ku Wojtkowi, mówiąc z wyrzutem:

— A czemuś mi nie rzekł tego od razu? a pójdźże, pójdź, duszo moja, wchódź prościuteńko do Nieba... a toś ty był ożeniony aż przez 30 lat; to tej niedoli już dosyć miałeś na tej ziemi waszej.

Poczem św. Piotr przeprowadził go przez próg niebieski i zawarł bramę za sobą.

I Wojtek dostał się do Nieba i zadowolony, szczęśliwy teraz na wieki powtarzał sobie, zacierając dłonie:

— Niema to jak się ożenić... nakłopotałem się nakłapotał z tem babskiem bez 30 lat, alem się za to dostał do Nieba; a tu ci — dokończył, oglądając się dokoła — jest bardzo pięknie i już mnie stąd nikt nie wydostanie.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 30-go marca 1475 pożar Krakowa. — 1428 traktat pokoju z Węgrami w Kesmarku. — 1657 Szwedzi wzywają Rakoczego do złożenia hołdu. — 1675 sejm elekcyjny. — 1831 powstanie w Szawlach. — 1848 uformowanie i wymarsz z Paryża legionu polskiego.

Dnia 31-go marca 1683 przymierze Jana Sobieskiego z Austryą. — 1831 zniesienie Moskwy pod Wawrem i Dębem. — 1831 rada wojenna w Gliniancu.

Dnia 1-go kwietnia 1455 śmierć Zbigniewa Oleśnickiego, kardynała. — 1548 śmierć Zygmunta I. — 1632 sejm nadzwyczajny ostatni za Zygmunta III. — 1640 urodzenie Zygmunta Wazy, syna Władysława IV. — 1831 pogoń za Moskwą i bitwa pod Kaluszynem.

Dnia 2-go kwietnia 1640 śmierć Marcina Sarbiewskiego. — 1658 śmierć Andrzeja Leszczyńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1702 śmierć hetmana Stanisława Jabłonowskiego.

Dnia 3-go kwietnia 1025 śmierć Bolesława Chrobrego. — 1241 spalenie Krakowa przez Tatarów. — 1831 powstanie w powiecie dziśnieńskim i w Trokach.

Dnia 4-go kwietnia 1581 śmierć Jakóba Uchańskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1657 zjazd w Modliszewicach Karola IX. z Rakoczem. — 1770 manifest konfederacyi barskiej. — 1794 świetne pod Racławicami nad Moskwą zwycięstwo. — 1803 odrodzenie się uniwersytetu wileńskiego. — 1831 powstanie w Oszmianie. — 1849 legion polski przeważa zwycięstwo pod Biczko.

Dnia 5-go kwietnia 1194 śmierć Kazimierza Sprawiedliwego. — 1573 pierwszy wolny sejm elekcyjny we wsi Kamieniu. — 1656 bitwa ze Szwedami pod Sandomierzem. — 1831 powstańcy zajmują Połągę.

Humor i satyra.

Krakowiaczki o Krakowie.

Kraków, polski Kraków,
Stolica Krakusa,
Dziś się nie raduje
Nad nim polska dusza.

Nie raduje nad nim,
Nie żyć w nim uciecha,
Bo w nim obcych rządów,
Coraz większa cecha.

Dziś w Krakowie każdy
Coraz jaśniej widzi,
Że nim jawnie rządzą
Socyaliści, żydzi.

Wzięli się za ręce,
Sobie pomagają
I w naród nasz polski
Truciznę wlewają.

Wlewają truciznę
Zwątpienia, niewiary,
W sercach podcinają
Nasz obyczaj stary.

Rynek nasz krakowski
W naszych dziejach sławny,
Traci coraz więcej
Swój charakter dawny.

Wszystkie kamienice
Żydzi wykupili,
A nam ledwie kilka
Pono zostawili.

W innych częściach miasta
Obcy nas rugują,
Domy i parcele
Z rąk naszych skupują.

I tak polski Kraków
Obcy podmywają,
Spokojnym podbojem
W żydowski zmieniają.

* * *

Odkrycie astronomiczne.

Pewien uczony, jadąc z swą żoną w ciemnej nocy, doznał przykrego wypadku, albowiem wóz wywrócił się i jadący wpadli do głębokiego rowu. Żona owego pana poczęła przeraźliwie krzyczeć:

— Ratujcie! ach, głowa moja, głowa! wszystkiem gwiazdy porachowała!

Mąż podniósł się raptem i zamiast nieść pomoc połowicy, wstrząsając się gwałtownie, zawołał:

— Dla Boga! mów prędko, ile ich jest?

* * *

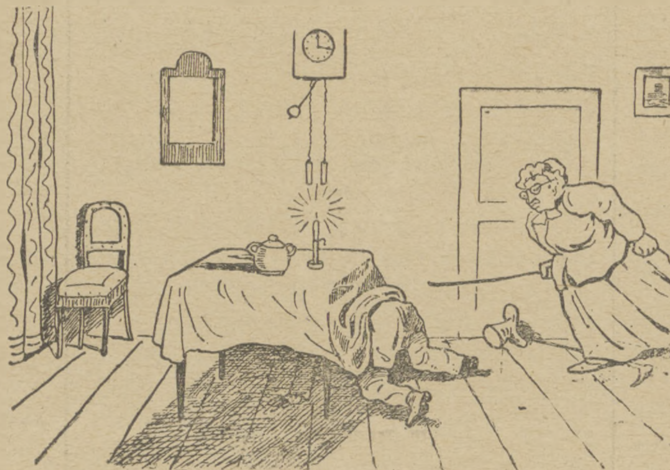
Mężna pani Kogucina — wali męża jakby syna.



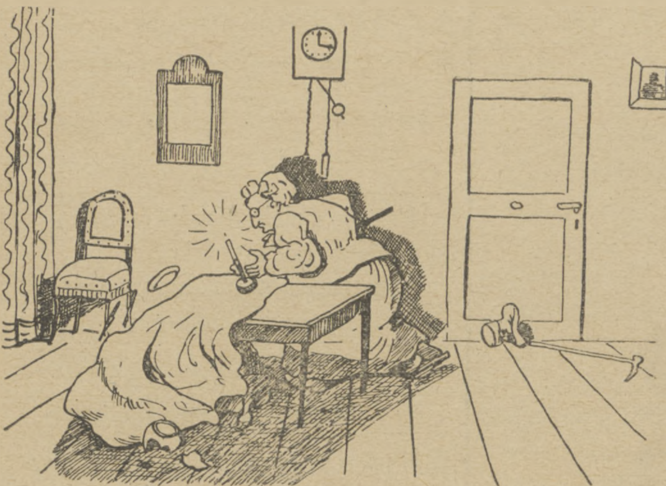
— O! już północna godzina!
Mówi do się Kogucina —
On w knajpie, czekaj gałganie!
Dam ja ci dziś smarowanie!



Wraca mężulek pijany,
Żona za drzwiami u ściany
Skryła się w kij uzbrojona,
Otwarł drzwi, patrzy, gdzie żona.



Gdy ją z kijem w ręku zoczył,
Hyc prędziutko pod stół wskoczył,
Żona dalej wali kije,
Pod stołem go, szturcha, bije!



Nie mogąc wytrzymać lania
Mąż obrusem się zasłania,
Lecz stół, obrus, twierdza słaba,
Łup! szturch! łup! łup! wali baba.



Oj dorżnęła mu, dorżnęła,
Bo go w obrus zawinęła,
Aż przysięgał — póki żyje,
Że się nigdy nie upije.

Za tanie pieniądze.

— Co tobie jest Kasiu? — rzekła pewna poczciwa pani do swej kucharki, — wydajesz mi się codzień smutniejszą?

— Ach! mam chęć pójść za mąż — odpowiedziała zapytana spuszczając skromnie oczy.

— Za kogo?

— Jeszczem nie wybrała sobie nikogo, to nawet bardzo trudno będzie dla takiej biednej jak ja dziewczyny.

— A więc dobrze. Pięć lat już służysz u mnie, jestem z ciebie zadowolnioną i chcę cię uszczęśliwić. Wybierz sobie więc męża, a ja przyrzekam natychmiast dać ci sto marek posagu.

I po tej serdecznej rozmowie, nazajutrz Kasia przedstawiła swojej pani jakiegoś wielce niemiłego drągala.

— Co? — zawołała pani ujrzawszy owego potwora. — Co? ty się chcesz z nim pobrać?

— Ha! trudna rada — odparła Kasia całując panią w ręce — za sto marek nie podobna nic lepszego znaleźć.

* * *

Ładna waga.

Wiesz, kochany mój Jacenty,
Że utyłem wielce pono, —
Toż dziś ważę funtów dwieście!
Co na wadze potwierdzono.

— Wierzaj, Jacku, że ze strachu jestem srodze drżący, blady, trzeba bowiem szukać będzie w Maryenbadzie na to rady.

— Choć dość jesteś okazały, mówiąc krótko, węzłowato, lecz byś ważył funtów dwieście, nie wyglądasz mi coś na to; zatem — wybacz, że ci zadam jedno tylko zapytanie, oto szczerze mi odpowiedz, gdzieś się ważył drogi Janie.

— Owszem, powiem ci otwarcie, gdyż nie widzę w tem nic złego! ważyłem się dziś na wadze, w składzie węgli Zdzieralskiego. Usłyszawszy to Jacenty, parsknął śmiechem nadto szczerze i zawołał:

— Cny Jasieńku, w dwieście funtów więc nie wierzę...
Jeśli waga Zdzieralskiego
Dwieście funtów wskazywała,
No to ważysz, drogi Janie,
Sto pięćdziesiąt coś bez mała...

* * *

Zmiana frontu.

Rzecz dzieje się w kantorze.

— Panie Piórkiewicz!

— Słucham pana dyrektora.

— Coś pan to za głupstwa powypisywał? Ależ to nonsens na nonsensie jedzie i nonsensem pogania!

— Przepraszam pana dyrektora, ale przepisałem dosłownie, litera za literą, wiersz za wierszem, z brulionu pana dyrektora.

— Hm... pokaż no pan... a, prawda! Hm... Widocznie musiałem ja sam utrzymać w brulionie różne niejasności gwoli zachowania pewnych tajemnic firmowych.

* * *

Dlaczego?

Pewna kapryśna i pieszcząca się dama, uczuwszy jakąś niedyspozycyę w nocy zawezwała słynnego lekarza. Gdy ów, ściągnięty z łóżka przyszedł, dama rzecze:

— Ach, doktorze! Zdaje mi się, że dziś umrę.

Lekarz przekonał się, że jest zdrowa i zapytał ją rezolutnie:

— Czy pani zrobiła już testament?

— Jakto? — odrzecze dama blednąc: — czyżby istotnie?

— Niech pani pośle natychmiast po notaryusza!

— Na Boga! Doktorze! Drżę cała.

— I po najbliższą rodzinę również!

— Ależ, doktorze! Dlaczego?

— Dlaczego?! — odpowie doktór podrażniony. — Dla tego, żebym ja nie był jedynym nierozsądnym, który przychodzi do pani, niepotrzebnie wezwany w nocy!

* * *

Biedaczka.

— Patrzajcie tylko, jak ta Stasia źle wygląda!

— Czyż można się dziwić? Mąż jej mówi we śnie, a ona nie może przez całą noc zmrużyć oka z ciekawości, aby usłyszeć wszystko.

Zagadka.

Nadesłał czytelnik „Pracy" pan Pankracy Stark z Poznania.

SYLABY:

Za, nat, bon, a, fon, la, wel, hoe, ce, church, nau, gia, or, nia, be, ko, cya, la, e, ko, li, kan, mit, ga, ko, gia, cya, van, ryś, gra, gu, cya, go, lo, le, ka, a, mo, fa, nal, ó, i, dy, e, nen, ta, ra, i, man, le, rac, mo, ko, du, na, na, bo, na, a, o, wa, me, ro, hill, e, gol, ton, me, o, ty, za, lo, mi, le, ce, cy, ta, wi, pa, niusz, ni, a.

Z powyższych sylab ułożyć 26 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry do dołu, dadzą ostatnie ważne zdarzenie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Co się sprzeciwia wierze,
2. podobieństwo,
3. słynny kompozytor i muzyk polski,
4. litera alfabetu greckiego,
5. dziki zwierz,
6. materyał wybuchowy,
7. cesarz niemiecki, sławny w historyi polskiej,
8. pałac papieski,
9. rozkład,
10. miasto na Riwierze,
11. powieść romantyczna Scotta,
12. tytuł,
13. zakonnik,
14. styl budowy,
15. samogłoska,
16. historyk,
17. nieumiejący czytać ni pisać,
18. instrument muzyczny,
19. miejsce bitwy,
20. rodzaj wiersza,
21. minister angielski,
22. osada,
23. rozpoczęcie uroczystości,
24. równouprawnienie,
25. góra z historyi biblijnej,
26. część ubioru liturgicznego.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 3-go kwietnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie zadania konikowego z nr. 11-go:

**Mam ja babunię staruszkę,
Co brewiarzyk ma stary,
A w tym brewiarzyku
Kwiatek wyschnięty i szary.
Dłoń, co go niegdyś jej dała,
Dziś bledziej może wygląda;
Lecz cóż się tej babci stało,
Że płacze, gdy nań spogląda.**

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia 20-go b. m. włącznie następujące osoby: pp. Marya i Zofia Nagler z Tadeuszowa pod Środą, Suczka z Szemborowa w powiecie wrzesińskim, Stanisława Galikowska z Gdyni w Prusach Zachodnich, Ludwik Rządkowski, malarz-artysta z Przechowa w Prusach Zachodnich i Hipolit Wodecki z Ropczyc w Galicyi.

Nagrodę otrzymali: pp. Marya Nagler z Tadeuszowa, Suczka z Szemborowa, Stanisława Galikowska z Gdyni i Hipolit Wodecki z Ropczyc.

Nasz kącik.

III. Zagadka historyczna.

Dziwne to były czasy, nadzwyczajne boje...
Hen, ciągły polską ziemią wojska całe roje,
Zciągnięte z krańców ziemi, jak na podbój świata:
Piechota i konnica, tu wóz, tam armata.
Gnała tych wszystkich wola jednego człowieka,
Co wyrósł ponad drugich i przybył zdaleka.
Przez polską szły krainę te wielkie zastępy
I pustoszyły ziemię, jak zgłodniałe sępy,
Lecz Polacy znosili to wszystko z poddaniem:
„On Ojczyznę wyzwoli, chodźmy, chodźmy za nim,
On rzekł, że krew przelana niewolę ugasi,
Chodźmy za nim!" I poszli najdzielniejsi nasi...
Opustoszały wioski, miasteczka i miasta,
Łkała za ojcem, mężem, za synem niewiasta. —
Szli, lecz przed nimi była pustka i ruina,
Grody pożarem zżarte. — Głód trapić zaczyna,
Mróz wżera się aż w kości, ale idą dalej,
Z otuchą szepcąc słowa: „On Polskę ocali!"
Próżny wysiłek wszelki, same ciągle klęski
I uszedł od swej armii, on, ten wódz zwycięski,
Odstąpiło go szczęście, powodzenie, chwała...
Próżno wpośród pól śnieżnych polska krew się lała,
Ojczyzna wojsk przechodem do szczętu zniszczona,
Konała wciąż w niewoli i do dzisiaj kona...
Kto był ów wielki człowiek, co budził nadzieję?
O, poznaj drogie dziecię, tych wysiłków dzieje,
Bohaterów imiona z czcią wspominaj zawsze,
Powiedz, gdzie były, kiedy, te boje najkrwawsze?

P. W.

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy).

Minęło kilka długich miesięcy, a biedna Ania jeszcze żadnej nie odebrała wiadomości z dalekiego Sybiru od mamusi, tatki i Stefka. Nastała znowu zima z duszną niewolą siedzenia w pokoju. Ania trzymając w objęciu lalkę, lubiła stawać przy oknie i patrzeć w śnieżną dal, ale i Koci to samo się spodobało: Puść mnie! To moje okno! Ania usunęła się zaraz do stołu, po chwili jednak, jak namolna mucha Kocia i tu przybiegła: Idź sobie, bo mi zawadzasz! Nie ruszaj książki, bo mi ją pobrudzisz. Bez słowa, z cichutkiem westchnieniem stanęła Ania koło pieca, nie wiedząc, co począć, lecz już znowu Kocia była przy niej. Tak mi się nudzi, wiesz co, pożycz mi twoją lalkę, pobawię się nią trochę! Ty masz więcej lalek, nie odbieraj mi mojej! Ale twoja Stefcia ładniejsza i dlatego ją wolę, daj mi ją! Masz tu za to moją Marysię! Ania zacisnęła rączki dokoła swej lalki: Nie oddam ci jej, nie oddam, to podarek od Stefka. Zaczęła się walka; Kocia podniecona oporem zwykle tak potulnej Ani, pchnęła ją silnie, Ania spłonęła z oburzenia. Zapomniała już teraz o Stefci i o wszelkich względach i równem pchnięciem odpłaciła się Koci. Wypadła lalka z rąk Ani na podłogę i główka jej rozbiła się w drobne kawałki, a Koci, która padając, nosem o róg stołu uderzyła, krew trysnęła strumieniem. Wszczął się krzyk i hałas. Wpadła pani G. i widząc zbroczoną krwią Kocię i stojącą nad nią Anię, bez namysłu silnie ją uderzyła: Coś ty Koci zrobiła? Ty, ty — przybłędo! Ach, to słowo Anię stokroć silniej jeszcze zabolało niż uderzenie ostrej dłoni. — Od tego czasu coraz jej było smutniej pod obcym dachem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

* * *

Odpowiedzi i pogadanka.

Wszystkim drogim dzieciom, które mi do dnia 20. 3. nadesłały liściki, pocztówki i życzenia świąteczne, serdecznie dziękuję. „Bóg zapłać" również za znaczki pocztowe: Jaskółce z niewoli, Stefci Dembińskiej z Raszkowa, Skowronkowi z Berlina i Anielce Tabernackiej z Neukölln. Jaskółeczko, twój plan zanadto kosztowny i dlatego nie możnaby go wykonać. Twój liścik Anielko schowałam jako wzór dla niektórych tutejszych siedmiolatek. Może staranne pismo dziecka na obczyźnie zamieszkałego, do większej je pobudzi pilności. Nie tylko „odrobinkę," lecz bardzo cię kocham! Mysia i Cesia Gzowskie. Jurkowo. Panieneczki trochę nieuważne; w „Kąciku" pisałam już raz o znaczkach. Proszę o nie wprost do mnie: Ul. Kopernika 8. lub: Wielm. B. Chłapowska Ogrodowa 13. Pierwiosnek Katowice. Nie posądziłam cię o zapomnienie, wiem, że wiele się uczysz. Z twojej i Bogienki podobizny bardzo się ucieszę. Znaczki na przytułek dla sierot bułgarskich będziemy cały rok zbierać. Kiedy kochanie wyjedziesz do Krakowa? Helcia Cicha. Neukölln. Biały Orzeł. Golina. Wypracowania zagadek historycznych dobre. Bardzo to ładnie świadczy o was, że chociaż bez nagrody, tak pilnie piszecie. Wcale się na ciebie, moja miła Helciu nie gniewałam, kto sam pracuje, ten i u drugich ocenić to umie. Mój Orle, młody, pilny pracowniku, bujajże zawsze myślą tak wysoko i współtowarzyszów pociągaj za sobą! Czterolistna Koniczynka. Gąsawa. Skoro dowiesz się czegoś pewnego od swej siostry, donieś mi, gdyż w razie niepowodzenia trzeba jeszcze gdzie indziej próbować. Bądź dobrej myśli, moja droga, przysłowie powiada: Pomagaj sobie, to Pan Bóg ci dopomoże! Irenka Preibiszówna. Mokronos. Życzę tobie i Józi powodzenia w klasztorze, znajdziesz tam jedną współczytelniczkę „Kącika." Za podobiznę serdecznie dziękuję, ale od roku już nie pisałaś, toć też pewnie wszyscy współczytelnicy ciebie zapomnieli. Gwiazda przewodnia i Różyczka. Poznań. Wasze i siostrzyczek pseudonimy bardzo mi się podobają. Jak się udał wasz popis na imieniny Tatusia? Czy wszystkie dostałyście promocye? Czy składacie także znaczki pocztowe? Niezapominajka. Kostrzyn. Moja miła, dziękuję ci za dowód przywiązania! Jeżeli twoje znajome z wiadomego powodu bezmyślnie cię wyśmiewają, wzrusz na to ramionami, uśmiechnij się i zadaj w przysłowiu pytanie: „Poczem poznać — niemądrego?" „Po śmiechu jego!" Może na razie jedna, lub druga trochę się pogniewa, ale kto wie, czy potem twój przykład dobrze nie podziała? Dawniej Fiołek, teraz Śnieżka. Września. Na twe życzenie, kochanko, przepraszam Fiołka z Babina, iż jego nazwałaś się imieniem, ale jestem pewną, iż taki grzeczny chłopczyk nie umie się wcale gniewać! Twoja podobizna mi się podoba i z czasem w „Kąciku" ją umieszczę: Znaczki zbieraj! Trójka. Osieczna. Nie wstydźcie się moje miłe, wcale się na was nie gniewam, wszakże sama przestrzegam zawsze, iż najpierw trzeba wypełnić obowiązki domowe i szkolne, a potem dopiero myśleć o przyjemności i rozrywce. Biedny braciszek, toż to się zmęczył, przepisując taki długi wiersz. Nim się wprawi, każcie mu koniecznie pisać w podwójnych liniach, inaczej bowiem będzie zawsze gryzmolił jak kurka pazurkiem na piasku. Waszej Mamusi życzę polepszenia!

— „Z Bogiem, z Bogiem, każda sprawa,
Tak mawiali starzy,
Gdy kto z Bogiem rozpoczyna,
Wszystko mu się zdarzy!"

Niechże więc i moja najmilsza gromadka z Bogiem rozpocznie nowy rok szkolny! Często od tej pierwszej chwili zależy powodzenie całoroczne w klasie, dlatego ze skupieniem wezwijcie dzieci na pomoc Ducha św., aby was uświęcił, oświecił i nieraz w trudnej chwili dopomagał wam i kierował. W ciężkich co prawda wzrastacie warunkach, zmuszone uczyć się w obcym języku, lecz skoro nic na to poradzić nie można, tem pilniej uczcie się dzieci i bądźcie wzorem dobrego wychowania, by naszym polskim dzieciom nikt nic zarzucić nie mógł! Więc w klasie, podczas lekcyi, broń Boże, żadnych szeptów, żartów, ni drwin z nauczycieli, bo to źle świadczy o sercu młodzieży! Również broń was Boże przed zanoszeniem skarg na współuczni; bardzo to nizki, brzydki i brudny nałóg i brzydzić się nim trzeba, a takie dziecko, które wśród współtowarzyszów nie znajdzie przyjaciela i samotnie przepędza chwile pauzy, to pewnie samolub. Przyjaźń to cudny kwiatek, niechże on wzrasta w sercach dzieci i uszlachetnia je, aby w przyszłości był im nieraz pociechą i osłodą. Gdzie, u kogo szukać jej wśród współuczni?

(Dokończenie odpowiedzi i pogadanki nastąpi.)





Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

54)

(Ciąg dalszy.)

Smutni będą pocieszeni; pragnący znajdą ochłodę; którzy cierpią niesprawiedliwość odejdą silny i zwycięzcy. W waszych ręku szczęście wasze. Wyrzeczcie się szatana, weźcie na uzdę swe namiętności, pokonajcie dzikie, w każdym z was drzemiące zwierzę. Pola wówczas przestaną być krwią ludzką żyźnione, kośćmi ludzkiemi zasiewane — białe lilie rosnąć na nich będą, drzewo rodzajne da pielgrzymowi cień i posiłek. Jako ja z wami, tak wy ze mną bądźcie. Pokój wam...

Tak mówiła świetlana, szlachetna postać, razem przyziemna, pokorna, jak człowiek — i wyniosła, wszechświat sobą wypełniająca, jak Bóg.

Jęki odzywały się coraz słabiej, z coraz cichszą skargą i mniejszem bólem — aż wreszcie zupełnie ustały.

Nad stoma tysiącami ciał, w morzu krwi leżących, rozpostarła się najgłębsza z cisz: cisza śmierci.

ROZDZIAŁ VIII.

Nasi.

W przededniu wielkiej bitwy pod Borodinem, Napoleon nie miał jeszcze kataru. Był wówczas taki, jak zwykle: nerwowy, rzucający się, krzykliwy. Nie skąpił słów, nie zagłębiał się nazbyt w sobie, nie zadziwiał swych generałów brakiem stanowczości i twarzą stale marmurową.

Tego dnia, o wczesnej godzinie, dosiadł konia i udał się przedewszystkiem na lewe skrzydło swej armii.

Z wielką pilnością opatrywał przygotowania wojenne; w każdy szczegół wglądał; każdego, rzec można, ręką dotykał.

Często wypadało mu schodzić z konia i znów go dosiadać — czynił to niezbyt lekko, lecz swobodnie i bez znużenia. Prawie cały wąwóz Borodiński przeszedł pieszo. Postępował szybko, pozostawiając swych sztabowców za sobą. Czynił to rozmyślnie, chcąc być sam.

Wdrapał się z pewnym trudem na przeciwległą ścianę wąwozu i odbył przegląd długiego łańcucha rozsypanych na jej szczycie tyralyerów.

Długo, z wytężoną uwagą badał pozycye nieprzyjaciela, zwłaszcza jego reduty. Najwięcej uwagi poświęcił wielkiej reducie, wysuniętej naprzód i znajdującej się wprost jego głównej kwatery.

Biały arabczyk przeniósł go stamtąd na lewe skrzydło armii, gdzie stał Poniatowski ze swymi Polakami.

Były to już szczątki świetnych niedawno wojsk Księstwa Warszawskiego — zaledwie cztery do pięciu tysięcy ludzi źle odzianych, licho odkarmionych. Część tych wojsk w inną stronę powiódł Dąbrowski, ogromną większość wybiły kule, szable, piki rosyjskie. Dopomógł tym ostatnim szkorbut, szerzący się epidemicznie, ze złego pożywienia i braku dobrej wody do picia wynikły.

Ale w oku każdego polskiego oficera i każdego polskiego szeregowca błyszczał ogień, mówiący światu całemu:

— Jam bohater!

To był hufiec żelazny, hufiec Termopilski. To byli rycerze nie dla żołdu walczący, lecz dla idei. Każdy żołnierz polski wart był dziesięciu francuskich, a stu sprzymierzonych.

Cesarz widział tylko oczy tego wojska, i to mu wystarczało. Zapadłych policzków i podartego obuwia widzieć nie chciał. Dobry wódz i historyk, wiedział, że i Leonidasa zastęp szedł w bój półnagi.

Przyjaźnie pozdrowił księcia Józefa; z zadowoleniem uśmiechnął się, widząc w jego twarzy wyraz bezgranicznego poświęcenia. Czy rozumiał głębię i świętość ofiary?

Nie tracąc czasu, zsiadł z konia i wstąpił na najbliższy wzgórek. Z lunetą przy oczach, rozpatrywał długo stanowiska rosyjskie. Ręka go zabolała od trzymania ciężkiej lunety — oprzeć jej nie miał na czem...

— Murat! — zawołał na stojącego w pobliżu szwagra.— Dajno mi tu swe ramię!

Murat stanął przed cesarzem, który na jego ramieniu umieścił lunetę. Ale że był od cesarza wyższy, zgarbić się musiał, aby dokładnie swą rolę pełnić. Wyglądałoby to zabawnie i śmiech budziło gdzieindziej i w innym czasie — wojna jest sprawą poważną i na śmiech miejsca w niej niema.

Skończywszy spostrzeżenia, zwrócił się cesarz do księcia Józefa.

— Ty, mości książę, ruszysz z pułkami swemi prosto. Na drodze swej spotkasz niezawodnie przeszkody...

— Wiem, *sire*.

— Przeszkody te usuniesz...

— Tak, *sire*.

— Zaatakujesz następnie lewe skrzydło rosyjskie...

— Wiem, *sire*.

— Trzymając je w zajęciu, będziesz wspomagał działania wielkiej armii...

— Tak, *sire*.

Cesarz miał już odejść, lecz zatrzymał się, czy tając w oczach księcia jakąś myśl niewysłowioną.

— Czy książę — zapytał — masz mi coś do powiedzenia?

— Chciałbym, *sire*.

— Mów.

— Lewe skrzydło rosyjskie opiera się o las. Za lasem znajduje się wieś Utica oraz stary gościniec, wiodący do Moskwy. Czy wolno mi, na własną rękę, zająć wieś, i w danym razie przeciąć odwrót nieprzyjacielowi?

Cesarz spojrzał bystro w oczy polskiego wodza. Myśl księcia była wyborna — w sekundzie to ocenił. Ale udał namysł, i po chwili dopiero pochylił głowę, dając znak przyzwalający. Tylko znak... Nie lubił bowiem przyznawać głośno innym ani geniuszu wojennego, ani zasługi.

Powracał do głównej kwatery w usposobieniu doskonałem. Przez całą drogę nucił półgłosem — fałszywie, jak zwykle:

La victoire, en chantant,
Nous ouvre la bariére...

Plan dnia jutrzejszego był gotowy. Pozostawało zajęcie dobrego punktu spostrzegawczego oraz ułożenie wojennego *ordre du jour*.

Miejsce dla siebie cesarz wybrał w samym środku linii bojowej francuskiej, która biegła prawie równolegle z linią rosyjską — wprost wielkiej reduty, od początku celem jego zabiegów będącej. Otaczała go czworobokiem gwardya: na tyłach stara, od czoła młoda. O ten mur rozbiłby się nawet ocean.

Rozkaz dzienny wydano późnym wieczorem. Do pułkowników polskich przybył on o samej północy. Oficerowie tłumaczyli rozkaz podoficerom; sierżanci nieśli go do szeregowców. Odczytywano go po polsku żołnierzom, którzy spędzali noc przy licznych ogniskach, było bowiem zimno, wietrzno i dżdżysto.

Mazurów słabo rozgrzewały frazesy cesarza o „upragnionej gorąco bitwie", przypomnienia Friedlandu i Austerlitz, obietnice zaszczytu, zamkniętego w słowach: „on tam był"... Do przekonania trafiało im najbardziej zapewnienie, że ta bitwa przyśpieszy ich powrót do Ojczyzny...

„Ojczyzna" nie była dla nich pojęciem oderwanem, ani promienną, skrzydlatą marą, ani piękną alegoryą, którą maluje się na transparencie, aby w dniu jakiejś wielkiej „gali" cieszyła oczy tłumu.

Dla Wojciecha Sęczka, Bartłomieja Kwiczoła, Walentego Kluska oraz ich bliższych i dalszych sąsiadów, Ojczyznę wyobrażała kryta słomą, z bocianem na strzesze, z „babą" i kilkorgiem „pędraków", chałupa, a przy chałupie ziemi ornej szmat, łąki kawał, kapusty i kartofli „licha", wreszcie chlew, jak się patrzy, napół rozwalony, gnoju pełny, a w nim bydlątek para, wieprzak galanty i gadzina...

Miejscy ich kamraci przez Ojczyznę rozumieli swój warsztat, krzywą wiodącą doń uliczkę, farę z huczącemi w święta dzwonami, izbę nizką w winiarni, gdzie się z kumotrami dobrze bo głośno gada — przytem starych ojców swych, młodą żonę lub narzeczoną, przyjaciół, towarzyszów, dzieci małe, swoje lub cudze...

Wszystko to było z blizka powszednie, trochę nudne, może nawet niezbyt piękne. Ale z oddalenia kilkuset mil, pod niebem z ołowiu, wśród trzęsawisk, gór i rozpadlin, gdzie na każdym kroku czaił się wróg, nienawiścią i zemstą dyszący, te chałupy, warsztaty, kmotrzy, trącający się kieliszkami, potargane kobiety i umorusane dzieci, nawet wązkie, pełne śmiecia zaułki i chlewy z wieprzkami — nabierały niewymownej piękności, nadziemskiego prawie blasku. Było z tem, jak ze stajenką Betleemską, gdy bóstwo w niej zagościło.

Poniatowski o wczesnej godzinie pospieszył na wskazane miejsce. Spodziewał się zastać tam strzelców rosyjskich, jako przednią straż lewego skrzydła armii nieprzyjacielskiej.

Tych strzelców miał pokonać i rozproszyć, a potem, zwyciężając, jedną po drugiej, przeszkody i zasadzki, pułki rosyjskie okrążyć, i od tyłu, ze wszystkimi Polakami na nie pójść...

— Na przepadłe — dokończył cesarz w myśli.

— Na przepadłe — pomyślał książę, uczuwając na chwilę mróz w sercu.

Obaj rozstali się ze spuszczonemi oczami. Napoleon w oczy towarzyszowi spojrzeć nie śmiał; książę — nie chciał.

Okazało się, że wiadomości cesarza o lewem skrzydle rosyjskiem nie były dokładne. Skupiwszy całą uwagę na reducie Szewardyńskiej i Borodinie, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo po prawej jego ręce, wśród odległych wzgórz, lasów i parowów. Wyzierała stamtąd tajmnica i wyzierał strach: wolał tam posłać cudzoziemców, niż swoich. Od tegoż są *braves des braves*, żeby samemu dyabłu śmiało w ślepie zaglądali!

Poniatowski, stanowisko swe zająwszy, strzelców nie zastał. Natomiast wysypały się przeciw niemu roje żołnierstwa dość bezładne, pełniejsze tępej rezygnacyi, niż ducha rycerskiego.

Bystre oko księcia rozpoznało w nich natychmiast *opołczeńje*.

Było tego dziesięć tysięcy.

Wzgardliwem skrzywieniem ust przyjął książę ten świeży zastęp. Wiedział, jak jest mało do Napoleońskiej *jeune garde* podobny.

Porucznik Zefiryn, na widok mało rycerskich pułków, na całe gardło się roześmiał.

— Nie wiem doprawdy, po co nas tu przysłano? Tu potrzebniejsi stróże z miotłami... *Parole!*

— Nie dowierzaj, Zefirku, pozorom. I tacy bić się mogą dzielnie.

— Tra la la! Dla żołnierza, jak dla kobiety, *la tenue* jest wszystkiem. Spójrzcie na cesarza; rzućcie okiem na Józia....

Rozkaz formowania się do ataku przerwał dalsze wywody. Ale jeszcze, w szyku bojowym stawając, piękny porucznik powtarzał:

— *Tenue, tenue — il n'y a que cela.*

Gdzieindziej kapitan Mroczek, koniem zataczając, wbrew zwyczajowi, milczał. Nie przychodził mu na pamięć żaden wiersz Homera, do okoliczności stosowny.

Walka nie była długa. Po stronie polskiej walczono jakby niedbale, z widocznem lekceważeniem.

Szarża ułanów wystarczyła do rzucenia popłochu w szyki nieprzyjacielskie. Zachwiały się, lecz nie cofnęły. Jak cała armia rosyjska, duchem religijnego fatalizmu przejęta, carowi i generałom ślepo posłuszna, szła na śmierć pewną. Zdawało się, że zaściełać ziemię swemi ciałami jest jej niezłomnym, przez los wskazanym obowiązkiem. Napoleon i jego armia, w pierwszym zaś rzędzie pułki polskie, przejmowali żołnierzy rosyjskich niepojętym, fanatycznym strachem. I był w tem jakiś nadludzki tragizm, widome sił wyższych działanie, że te dwie potężne armie stawały się ofiarami nie wzajemnej bitności, lecz czegoś zgoła postronnego...

Nie od kul i szabel rosyjskich topniała główna armia Napoleona, lecz od głodu, niewygody, szkorbutu i dysenteryi. Nie kule i szable francuskie gnębiły głównie Rosyan, lecz przesądna, fanatyczna trwoga, odrętwiająca ich dusze i ramiona.

Olbrzymom zdawało się, że losami kampanii kierują. W rzeczywistości, sami byli przez kogoś kierowani; poruszali się bezwolnie, jak maryonetki.

Niewiele czasu i niewiele strat kosztowało księcia zgnębienie wroga. Długo stał on w miejscu, pozwalając się wybijać; po wielkich dopiero stratach, skorzystał z naturalnej obrony, którą mu zapewniał las. Do lasu wtargnęła za nim piechota polska.

Walka w gąszczach była niewygodna i niebezpieczna. Ale między piechurami polskimi dużo było kurpiów. Mieszkańcy puszczy Ostrołęckiej i Myszynieckiej poruszają się wśród lasu swobodnie, jak ryby w wodzie. Oni też głównie załatwiali się z piechurami rosyjskimi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Przepowiednia kabalarki.

14 Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

(Ciąg dalszy.)

— Ależ to nic nie szkodzi. Tylko, że Lacville nie jest zupełnie bezpieczne miejsce, właściciele will nie lubią nic mieć do czynienia z policyą. Dziwiłem się nawet, że komisarz nie rewidował pani rzeczy, i że pani o paszport nie pytał. — Ale widzę, że pani się bardzo niepokoi o panią Wolską, sam się skomunikuję z paryską policyą. Jest możliwe zawsze, choć mało prawdopodobne, że pani przyjaciółce wydarzyło się co złego.

ROZDZIAŁ XVII.

Tydzień przeszedł, a żadna wieść od Anny nie nadeszła. W pensyonacie Malfait oczekiwano ciągle na próżno od niej listu.

Sylwia najbardziej niepokoiła się i martwiła tem nagłem zniknięciem przyjaciółki. Jakikolwiek był powód Anny do nagłego wyjazdu, mogła mieć przecież tyle czasu, aby się wytłumaczyć przed przyjaciółką.

Szczęściem dużo rozrywek odwracało myśl Sylwii w inną stronę. Co rano wyjeżdżała na dwugodzinną przechadzkę konną z Pawłem. Zostawiając Lacville daleko za sobą, zapuszczali się najchętniej w lasy Montmorency.

Księżna przysłała także pokojową z amazonką, a co Sylwię najbardziej bawiło, to mniemanie pana Polperro, który ją uważał za długoletnią przyjaciółkę księżny.

Inni pensyonarze willi du Lac traktowali ją z wyszukaną grzecznością.

Oprócz Sylwii niepokoili się jeszcze bardzo państwo Wachner zniknięciem Anny. Co rano w kasynie pytali ją: — Miała pani wiadomości od pani Wolskiej?

A gdy ta zaprzeczyła, wyrażała pani Wachner swoje zdziwienie.

— Gdyby tylko była przyszła do nas wtedy, jak zamierzała, bylibyśmy się napewno czegoś dowiedzieli. Nie byłaby przed nami nie taiła, bo chociaż od niedawna, ale byliśmy szczerymi przyjaciółmi.

Teraz kiedy już tydzień po wypadku przeszedł, otrzymała Sylwia list z Anglii od Billa Chestera, który jej donosił, że wybiera się jednak do Szwajcaryi i że na kilka dni zatrzyma się w Paryżu.

Było to bardzo ładnie z jego strony, ale Sylwia nie pragnęła teraz Billa obecności. Zdawało jej się, że Chester nie będzie zadowolony z jej przyjaźni z Pawłem i że hrabia nie będzie sympatyzować z Billem Chester — i było jej to niewypowiedzianie przykro.

Nagle ujrzała przez okno idącego Pawła. Był dziwnie zmieniony — wyglądał zasmucony, ale oczy świeciły mu radośnie. Miałżeby się co dowiedzieć o Annie?

Wychyliła się oknem, a hrabia rzekł po angielsku: — Niech pani przyjdzie do ogrodu, tak tu cicho i spokojnie.

Sylwia zeszła pospiesznie, myśląc, że dowie się jakich nowości.

— Zdarzyło się bardzo coś ważnego — rzekł biorąc jej ręce. Ze zdziwieniem zauważyła, że miał zaczerwienione oczy. Miałżeby płakać? Zdawało się, że tak.

— Co się stało, czy się co wydarzyło pańskiej siostrze?

— O nie dzięki Bogu — moja droga chrzestna Markiza de Vauglon umarła ostatniego wieczoru.

— Jakże to panu musi być przykro — tak dobrze wyglądała.

— Ale była w bardzo podeszłym wieku, liczyła przeszło dziewiędziesiąt — przed 30 laty, gdy mnie do chrztu podawała, była już staruszką.

Zaczekał chwilę, a potem dodał:

— Zapisała mi dwieście tysięcy franków. Ośm tysięcy funtów, zdaje się to dużo pani?

— Naturalnie, że tak.

— Nie potrzebuję być teraz zależnym od szwagra.

— Ale pan już nie będzie grał w baccarata — rzekła Sylwia cicho.

— Nie mógłbym nic obiecać napewno, nie będąc pewnym czy dotrzymam słowa, obiecuję wszakże, że będę się starał ze wszystkich sił zapanować nad sobą.

Sylwia uśmiechnęła się, ale łzy stanęły w jej oczach.

— Życzy pani sobie, abym dał słowo honoru, że nigdy tej sukcesyi ryzykować nie będę — rzekł prawie szeptem.

Sylwii serce poczęło uderzać pośpiesznie — hrabia był bardzo blady i dziwny, wyraz miał w oczach. — Czy pani tego żąda?

— A mógłby pan dotrzymać słowa, gdybym doprawdy żądała?

— Ach, pani zna mnie bardzo dobrze.

Zaczął się przechadzać gorączkowo, zostawiając Sylwię w dziwnej rozterce.

Kilka minut przeszło, poczem hrabia usiadł na ławce.

— A tutaj nic się nie zdarzyło? — zapytał — żadnych wiadomości o pani Wolskiej?

A gdy Sylwia zaprzeczyła, podjął znowu:

— Będę mówił otwarcie, jak gdyby pani była moją siostrą. Pani jest w błędzie, żałuję pani Wolskiej. To była nieszczęśliwa kobieta, znajdowała się zupełnie w szponach tygrysa — gry. Szkoda tylko, że ją pani wogóle poznała, nawet jestem rad, że tak nagle odjechała, nie uczyniwszy pani nic złego. Dosyć było źle, że panią do Lacville przywiozła i namówiła do gry, gdyby była tutaj została, byłaby panią zabrała napewno do Monte Carlo.

Sylwia patrzała zdziwiona, nigdy tak do niej o Annie nie mówił, więc odrzekła trochę nerwowo.

— Proszę pana, czy pan nakłonił panią Wolską do wyjazdu? proszę mi powiedzieć.

— Ja nakłoniłem panią Wolską do wyjazdu? — powtórzył zdziwiony. — Nigdy mi to na myśl nie przyszło. Byłoby to bardzo dziwnie z mej strony. Ma mnie pani widocznie

za hipokrytę. A kufry jej? — gdyby na moją prośbę była wyjechała, wzięłaby napewno kufry ze sobą.

Sylwia zarumieniła się bardzo. Były to myśli podsunięte jej przez panią Wachner, która po wyjeździe Anny powiedziała:

— Nie dziwiłabym się, gdyby hrabia namówił panią Wolską do wyjazdu, chciał mieć wolną drogę.

— Nie miałam pana nigdy za hipokrytę — rzekła Sylwia uniewinniająco — ale pan nigdy nie lubił biednej Anny i zawsze pan mówił, że w Lacville uczciwe kobiety nie powinny bawić długo. Myślałam, że może pan coś takiego powiedział Annie.

— I myśli pani — rzekł hrabia z gryzącą ironią — ża pani przyjaciółka usłuchałaby mej rady? Przypuszcza pani, że pani Wolska troszczyłaby się o cokolwiek wobec bogini gry?

— Ale bogini gry nie wymagała nagłego wyjazdu z Lacville. Pani Wolska zamierzała tu zostać do końca września.

— Właściwie jest pani bardzo niedyskretną — podjął hrabia znowu — pyta mnie się pani, czy skłoniłem panią Wolską do wyjazdu? Zapytam się więc i ze swej strony, czy pani nigdy nie podpadło, że państwo Wachner więcej o jej wyjeździe wiedzą, niż to okazują? Raz miałem to wrażenie, gdy pani o tem z panią Wachner rozmawiała. Wiem napewno, że wie więcej niż my wszyscy.

Sylwia zawahała się.

— Pani Wachner gniewała się, że byłam na policyi, to prawda. Ale później martwiła się wyjazdem Anny w równej mierze ze mną. O nie, hrabio, jestem pewna, pan się myli. Zapomina pan, że tego samego wieczoru jeszcze, kiedy Anna opuściła Lacville była pani Wachner u niej nawet w jej pokoju, ona pierwsza wiedziała, że Anna wieczorem do domu już nie wróciła.

— Więc to pani Wachner znalazła ów list?

—O nie, następnego dnia znalazła go służba na stole w nieznacznem miejscu, trudno go było zrazu zauważyć. Pani Malfait przypuszcza, że biedna Anna wszystko przegrała i dlatego tak nagle wyjechała.

— Przypuszczam też coś takiego — rzekł hrabia zamyślony. — A teraz — rzekł wstając — pójdę grać trochę do kasyna.

Sylwii usta zadrżały, czuła się do głębi zraniona, ale była za dumną, aby się przyznać.

— Widzi pani co jestem wart — dodał jakby ze zawstydzeniem — szkoda, że pani nie żądała ode mnie słowa.

— A ja pójdę na herbatę do państwa Wachner — rzekła Sylwia. — Oni nigdy w sobotę nie grają w kasynie.

Chmura niezadowolenia zaciemniła hrabiego oblicze.

— Nie rozumiem co panią pociąga do tych ludzi — rzekł z irytacyą. — Dla mnie mają oni coś w sobie odpychającego.

— Odpychającego — odrzekła Sylwia zdziwiona — dla mnie są oni bardzo dobrotliwi, kochają się też bardzo.

— Gwarantuję pani, stara kobieta może bardzo kocha tego wstrętnego Fryca, ale wątpię, czy on się odwzajemnia.

— Mężowie we Francyi — rzekła Sylwia — kochają pewno tylko żony, gdy są młode i piękne.

— Nową kalumnię rzuca pani na mój biedny kraj. Ale przyznaję, zdarza się to czasami. Żarty zresztą na bok i myślę, że „przyjaciel Fryc" uwielbia naprawdę — tu się zawahał jakby szukał wyrazu — tę starą kwokę!

Sylwia roześmiała się.

— Ale to szkaradnie z pańskiej strony! Wachnerzy są mi sympatyczni — nie życzę sobie nic ujemnego usłyszeć o nich więcej.

Pogodzili się znowu, dowodziły to ostatnie słowa hrabiego:

— Nic już nie będę mówił na Wachnerów. A jeśli pani pozwoli, odprowadzę ją do ich willi.

Poszli razem do willi Wachnerów, ale zawrócił zobaczywszy ją tylko zdaleka. Napróżno Sylwia usiłowała nakłonić go do wnijścia.

— Niech pan idzie razem ze mną, jakże się ucieszy pani Wachner. Mówiła kiedyś, że pan nie chce się z nimi zapoznać.

— Nie, nie, nie mam intencyi. Nie lubię ich. Myślę, przypuszczam... że państwo Wachner nie chcieli się nigdy u pani zapożyczyć?

— Nigdy — wykrzyknęła Sylwia z oburzeniem — pana antypatya czyni pana niesprawiedliwym!

— Przepraszam panią najmocniej. Byłem głupcem niedyskretnym pytając panią o to. Żałuję tego niewypowiedzianie. Niech mi pani wybaczy. — Usprawiedliwię się tylko tem, że dowiedziałem się przed mniej więcej dziesięciu dniami przypadkowo, że państwo Wachner znajdowali się w trudnościach pieniężnych. Krótko potem mieli masę pieniędzy. Przyznaję się, że podejrzywałem, że zawdzięczają to pani. Naturalnie, nie moja rzecz myśleć o tem, a jeszcze mniej mówić. Proszę o wybaczenie jeszcze raz.

A potem ukłoniwszy się szybko, opuścił Sylwię, która skierowała swe kroki do „Namiotu konwalii."

ROZDZIAŁ XVIII.

Sylwia otworzyła furtkę i weszła do zaniedbanego ogrodu, gdzie nawet ścieżkę chwast gęsty pokrywał.

Oczy jej przyzwyczajone do pielęgnowanych ogrodów angielskich, były prawie zranione tym zaniebanym wyglądem i znowu Sylwia dziwiła się w duszy, jak Wachnerowie mogli znosić wokół swego domu podobny nieporządek.

Ale sam dom mieszkalny interesował ją fantastycznością i tajemniczością, w całej Anglii nie było nic podobnego.

Dzisiaj było nadzwyczaj gorąco na dworze — rolety na oknach szczelnie były zapuszczone i Sylwia cieszyła się już naprzód na przyjemny chłód w pokojach, na wyborną herbatę i wesołą pogawędkę z panią Wachner.

Sylwia lubiła nawet rozmowę z panią Wachner, choć się tego trochę wstydziła, bo nie było w niej dystynkcyi ani inteligencyi, ale pani Wachner opowiadała zabawnie i miało dużo trafnych spostrzeżeń. Pani Wachner umiała zresztą zręcznie podchlebiać, a Sylwia po każdem rozstaniu się z nią czuła się zadowolona ze siebie i świata.

Sylwia pociągnęła za prymitywny dzwonek — po kilku minutach ukazała się posługaczka.

— Państwo Wachner pojechali do Paryża po pieniądze — rzekła pospolitym tonem — tak jest byli dosyć głupi, aby wszystko przegrać w kasynie, musieli na gwałt jechać po pieniądze.

Sylwii zrobiło się nieprzyjemnie. A myśl samotnego powrotu w ten gorący dzień była jej wprost wstrętną. Dlaczego nie miałaby zaczekać na panią Wachner?

Powiedziała służącej, że chętnie zaczekałaby, bo państwo Wachner nigdy długo nie zostają w Paryżu.

— Myślę, że pani Wachner napewnoby sobie życzyła, abym została — dodała z uśmiechem.

— Po krótkiej chwili otwarto jej z widoczną niechęcią drzwi.

— A czy państwo Wachner nie mówili kiedy wrócą? spytała jeszcze.

Służąca zawahała się.

— Nigdy nie mówią dokąd jadą, ani kiedy wrócą. To tacy dziwni ludzie.

Potem wyszła z pokoju i wróciła niedługo z wielkim, płóciennym parasolem w ręku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W płomieniach.

13) Z francuskiego tłumaczyła **M. P.**

(Ciąg dalszy.)

— Namiętność i zazdrość są zawsze powodem wszystkiego złego.

— Ale tu nie było ani namiętności, ani zazdrości.

— Czy pan sobie drwisz ze mnie? — oburzył się pan Ville. — Czy nie czytaliśmy tych listów? Nie porzuciłeś pan stanowiska i ojczyzny, aby jechać za kobietą, którą kochałeś, i której wszystko poświęciłeś? Cierpiałeś dla niej głód i niedostatek.....

— Tak, — zawołał Ryszard z pałającemi oczami, — wiem bardzo dobrze, co uczyniłem i co przecierpiałem. Gdybym był przed rokiem spotkał panią Vilmott w towarzystwie inego mężczyzny w osobnym pokoju w hotelu, to nie wiem, co byłbym uczynił. Może byłbym zabił ją i jego i siebie! Ale to już dawno minęło! Pan rozumiesz taką namiętność — musisz zatem wiedzieć, że z czasem zamienia się w odrazę...

— To znaczy, że.... — zaczął sędzia, podczas kiedy Lola przerażona patrzała na niego.

— To znaczy, że chodzi tu o moje życie, — odrzekł, — a że pani Villmott wyznała prawdę, to i ja mogę teraz prawdę mówić!

— Więcej niczego nie żądamy, — zauważył sędzia.

— Myślałem, że kocham ją czystą, szlachetną miłością, — mówił Ryszard dalej, i spojrzał lekceważąco na piękną kobietę, — ale ona sama przekonała mnie, że to było zabawą tylko. Poświęciłem jej wszystko — moją młodość, siłę i przyszłość, a ona wzięła to, złamała i śmiejąc się rzuciła mi smutne szczątki w twarz. Gdy poznałem prawdę — ach, wolę nie mówić o tem, ale możesz pan być pewnym, że nie traciłem czasu na bieganie po Paryżu i na szukanie artystów bilardowych, których mógłbym był zamordować.....

Nie było to może grzecznem, ale szczerem i prawdziwem, co Ryszard mówił. Słowa jego brzmiały jak okrzyk rozpaczy!

— Czemu się pan gniewałeś na Martineza? — spytał sędzia.

— Bo usiłował zbliżyć się do młodej dziewczyny, którą kocham, i za którą bym życie oddał!

— Cicho, — szepnął adwokat.

— Oddałbym życie i walczyłbym o nią do upadłego, ale strzelać do człowieka bezbronnego przez otwór w ścianie — na to bym się nie zdobył, — dokończył Ryszard spokojniej.

— Więc miłość dla tej dziewczyny z Notredame uważasz pan za czystą i szlachetną, w przeciwieństwie do tej, jaką kochałeś panią Vilmott.....

— To nie było miłością! To była tylko namiętność przemijająca.

— A jednak poświęciłeś jej pan więcej, niż miłość....

— To nie prawda! Byłem szalonym — lecz teraz miłość uzdrowiła mnie i wróciła mi równowagę duszy i serca! Byłem lekkomyślnym — byłem graczem — teraz pracuję uczciwie i utrzymuję się z tego, co zarobię, chociaż to tak nie wiele..... Myślisz pan, że to łatwo odzwyczaić się od gry? Że łatwo mieszkać w nędznej izbie na szóstem piętrze, bez pieca w zimie? No, dla mnie to w każdym razie łatwem nie było, a jednak — żyję tak, bo kocham! Tak, panie sędzio, to jest wielka, prawdziwa miłość!

— Wszystko to bardzo ładnie, ale czemu naraziłeś się pan z powodu pani Vilmott na takie niebezpieczeństwo — jeżeli to, co mówiłeś, jest prawdą?

Ryszard zawahał się i odrzekł cicho:

— Uczyniłem to przez pamięć tego, czem dla mnie niegdyś była. Jeżeli prosiła mnie o pomoc, to musiałem prośbę jej wypełnić. Zapłaciłem jej mój dług.....

— Wiedziałaś pani, — spytał sędzia Loli, — że pan Kildale przestał panią kochać?

Lola spuściła swe piękne czarne oczy i szepnęła cichym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Tak, wiedziałam o tem.

— — — — — — — — — —

— Pomimo wszystkiego jestem przekonany, że Kildale jest mordercą, — mówił godzinę później sędzia do Coquenila, przeczytawszy raz jeszcze cały protokół.

— Dziwna rzecz, — zauważył detektyw, — wszakże on twierdził, że posiada trzy pary butów.

— On wogóle mówił za wiele! Jest to zwyczajny morderca z zazdrości.

Coquenil milczał. Wyjął z kieszeni dwa kawałki lśniącego papieru i patrzał na nie uważnie przez powiększające szkło.

— Słyszałeś pan, co mówiłem? — spytał sędzia zdumiony.

— Nieomylne dowody! — odrzekł Coquenil zamyślony i zagłębił się znowu w oglądaniu papierków. Potem zerwał się nagle, pobiegł do okna i patrzał z jeszcze większem natężeniem na papierki, będące oczywiście fotografiami.

— Boże Wielki! — krzyknął.

— Co pan tam ma? — rzekł sędzia.

— Znalazłem coś, co obala wszelkie domysły! — zawołał Coquenil tryumfująco. — Ślady butów w ganku nie stosują się do podeszew Amerykanina!

— Ale pan sam mówiłeś przecież.....

— Omyliłem się! Slady te są prawie równe. Forma, wielkość, ilość i położenie gwoździ, starte miejsce, wszystko to zgadza się zupełnie. Ale przez powiększające szkło widać na fotografii nieomylne różnice niektórych gwoździ.

Sędzia wzruszył ramionami.

— Widzisz pan jakieś różnice, które zapewne tylko w pana przekonaniu istnieją, — zauważył niechętnie.

— Bynajmniej! Widać je zupełnie wyraźnie, — upierał się detektyw, pochylony zawsze jeszcze nad powiększającem szkłem. — Widzę tu na korku czterdzieści albo pięćdziesiąt gwoździ, i żaden się nie zgadza — każdy jest inny — gwoździe nie są te same! Przekonaj się pan sam! Porównaj jakie chcesz gwoździe, a zobaczysz, że nie tkwiły nigdy w tej samej parze butów!

Z uśmiechem niedowierzania wziął sędzia szkło i fotografie, lecz uśmiech znikł wnet z jego twarzy, która stała się teraz bardzo poważną.

— Zdaje mi się, że pan masz słuszność, — rzekł, — ale powiedz mi, jak to być może?

Coquenil bardzo był zadowolony.

— Kildale twierdził, że posiada trzy równe pary butów: jest to robota fabryczna i wszystkie są równej wielkości. Mówił, że nosi raz tę, raz inną parę, powinny więc być równo znoszone. Mamy tę parę, którą nosił w sobotę, drugą znaleźliśmy w jego pokoju. Ale brak nam trzeciej pary i to właśnie tej, której ślady były w ganku.

— Więc pan myślisz, że......

— Że znajdziemy mordercę, jeżeli znajdziemy człowieka, który ukradł ową trzecią parę butów!

ROZDZIAŁ XIII.

Wytrawny detektyw musi posiadać sporą dozę cierpliwości, przymiot ten świadczy mu najlepsze przysługi, mianowicie w połączeniu z bujną wyobraźnią. Weźmy naprzykład taką drobnostkę, jak świder, którego użyto w hotelu Ansonia. Coquenil był przekonany, że kupiono go umyślnie do zrobienia tych otworów w ścianie, bo zkądżeby artysta bilardowy miał nosić takie narzędzie przy sobie! Oprócz tego mówiła mu jego wyobraźnia, że nie kupił go Martinez, tylko morderca, bo najważniejszą rzeczą było przecież, aby otwory były dosyć duże, a jednak nie za wielkie. Sądząc z tego, musiał morderca być przyjacielem Martineza. Przedewszystkiem chodziło więc o to, aby odnaleść ów świder, a potem szukać w wszystkich sklepach żelaza w Paryżu kogoś, kto może sobie przypomni, komu go sprzedał.

Zadanie to było olbrzymie!

Pierwszą jego częścią było, aby Coquenil sprowadził nurka w okolice mostu nad Sekwaną, i aby tam na dnie rzeki szukać wrzuconego przedmiotu.

Druga część polegała na tem, aby zręczny urzędnik policyi starał się poznać wszystkich znajomych i przyjaciół zamordowanego i szukać pomiędzy nimi mordercy.

Oprócz tego otrzymał jeszcze ojciec Tigol ważne zlecenie. Gdy przyszedł rano po rozkazy, prosił go Coquenil, jedzący właśnie w ogrodzie swej willi śniadanie, aby wynajął pokój w hotelu des Etrangers o ile możności na szóstem piętrze, i aby uprzyjemniał sobie czas grą na flecie.

— Grać mam na flecie? — zawołał Tigol zdumiony, — ależ ja wcale grać nie umiem!

— Tem lepiej, nauczycie się więc czegoś! Nic nie popobudza tak bardzo sąsiadów do zawierania znajomości z nowym lokatorem, jak gra na flecie.

— Acha, — rozśmiał się stary, — mam ich wybadać — moich nowych sąsiadów. Zabawny pomysł! Dobrze, kupię sobie flet.

Podczas kiedy Coquenil jechał do więzienia, myślał z natężeniem o kwestyi śladów nóg w ganku. Po obejrzeniu odlewów gipsowych nabrał przekonania, że morderca musiał cokolwiek upadać na lewą nogę — lewy korek bowiem o wiele mocniej był wyciśnięty, niż prawy. Zdawało się to często u osób, cierpiących na reumatyzm. Chcąc mieć zupełną pewność, postanowił urządzić tak, aby Kildale w własnych butach przeszedł kilka razy po miękkiej, wilgotnej ziemi — wtedy jedynie mógłby dowieść, że ślady te są odmienne od śladów znalezionych w ganku. Gdyby się to powiodło, w takim razie było jasne, że morderca ukradł nietylko pistolet Ryszarda, ale nadto i parę jego butów. Dla czego jednak nie odniósł butów napowrót do mieszkania Amerykanina?

Pan dyrektor Dedet przyjął Coquenila bardzo kwaśno.

— Na jakie licho przysłałeś mi tu pan na kark tę dziewczynę? — zapytał.

— Jakto, czy nie mówiła, o co jej chodziło?

Zamiast odpowiedzieć, otworzył dyrektor szufladę w biurku i wyjął kawał bibuły, którą podał Coquenilowi.

— Otóż patrz pan, — rzekł, — to ona tu napisała, i pan wiesz bardzo dobrze, że podałeś jej sam tę dziwaczną myśl....

Coquenil przeczytał nakreślone słowa, które mu dyrektor palcem wskazywał i niezmiernie zdumiony, spojrzał na niego.

— Co to znaczy? — zapytał.

— Więc pan nic nie wiesz? — odpowiedział dyrektor podejrzliwie. — Ale czy to możliwe, aby dziewczyna, której nigdy w życiu nie widziałem, miała wiedzieć o mnie coś, czego nikt nie wie?

— Dziwna rzecz! Jest to coś ważnego?

— Myślisz pan, że przestąpiłbym przepisy dla przyjemności tej dziewczyny, gdyby to nie było czemś bardzo ważnem? — zawołał dyrektor rozgniewany.

— Nie chcesz mi pan wyjaśnić znaczenia tych słów?

— Ani mi się śni!

— W takim razie przystąpmy do sprawy. Każ pan wyprowadzić więźnia na dziedziniec.

— To niemożliwe.

— Przyniosłem rozkaz sędziego śledczego.

Ale dyrektor nie ustępował.

— Nie wolno panu widzieć go! Otrzymałem właśnie telefoniczne uwiadomienie. I sędzia chce z panem natychmiast mówić.....

Coquenil zdjął okulary, wyczyścił starannie szkiełka, pożegnał dyrektora i pojechał prosto do Pałacu Sprawiedliwości. Co się tam stało? W każdym razie coś nadzwyczajnego, o czem on pojęcia nie miał.

Po drodze spotkał młodego urzędnika policyi, który miał dozorować poszukiwania nurka, i dając dorożkarzowi rozkaz, aby stanął, przywołał go do siebie.

— Co pan tu robisz? — rzekł, — mówiłem ci przecież, abyś pilnował nurka.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Świder znaleziony, — odpowiedział, — i znajduje się już w rękach pana Gibelina.

— Gibelina? — powtórzył Coquenil, własnym nie dowierzając uszom. — Przecież on z tem nic nie ma do czynienia! Pan jesteś w moim wydziale!

— Tak? A pan Gibelin twierdzi, że w jego, — roześmiał się policyant.

Coquenil kazał jechać dalej.

— Zobaczymy, — pomyślał.

Pierwszą osobą, którą spotkał w Pałacu Sprawiedliwości był — Gibelin.

— Słuchaj pan! — zawołał gwałtownie, — gdzie jest świder?

— Wyrzuciłem go w śmiecie, — odrzekł Gibelin, — z takiem rupieciem nie trwonimy naszego czasu.

— I pan wydawałeś rozkazy Robertowi? — krzyknął Coquenil, nie posiadając się z złości.

Gibelin rozśmiał się szyderczo.

— Wejdź pan tam, — rzekł, wskazując na drzwi pokoju sędziego, — tam się dowiesz.... ha, ha, ha.....

W następnej chwili stał Coquenil w pokoju pana Ville.

— Co to znaczy? — zawołał.

— Przygotuj się na złą wiadomość, kochany panie Coquenil, — rzekł sędzia i ujàwszy jego rękę, uścisnął ją serdecznie.

— Ach, rozumiem! Oddano moją sprawę komuś innemu!

(Ciąg dalszy nastąpi).